O poecie Adamie Zagajewskim

Urodzony 21 czerwca 1945 r. we Lwowie, zmarł 21 marca 2021 r. w Krakowie – polski poeta, eseista, prozaik, przedstawiciel pokolenia Nowej Fali, sygnatariusz Listu 59 (1975), od 1976 objęty cenzurą, w latach 1982–2002 na emigracji we Francji, od 1983 redaktor „Zeszytów Literackich”; laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1975), Międzynarodowej Nagrody Neustadt w dziedzinie literatury (2004) i Nagrody Księżnej Asturii (2017), w latach 1973–1983 członek Związku Literatów Polskich, od 1979 członek Polskiego PEN Clubu, od 2006 członek Polskiej Akademii Umiejętności; nauczyciel akademicki, tłumacz literacki (wikipedia).



Adam Zagajewski (z lewej) podczas spotkania w Teatrze Chopina w Chicago w 2012 r., copyright Adam Lizakowski

Adam Lizakowski *(Chicago-Pieszyce)*

W pierwszy dzień wiosny 2021 r. umarł w Krakowie poeta, laureat wielu prestiżowych nagród literackich w Polsce i za granicą. Zmarł w wieku 75 lat.

Literacki Paryż bardzo mnie interesował z czasem poznałem korespondencyjnie ciekawego człowieka i poetę Macieja Niemca, tam mieszkającego redaktora pisma pt. „Kontakt”, wydawanego przez sławnego w Ameryce wówczas działacza *Solidarności*

Mirosława Chojeckiego. Z czasem wysłałem do redakcji fragment dziennika kalifornijskiego i tak rozpoczęła się nasza korespondencja i papierowa znajomość. Natomiast z poetą Adamem Zagajewskim spotykałem się wielokrotnie w Stanach w San Francisco, w Krakowie i po raz kolejny po latach w roku 2011 w Chicago. Zaprosiłem go na lampkę dobrego wina do jednej z restauracji na Michigan Avenue, niecałe sto metrów od *Chicago Arts Institute*. Po krótkiej rozmowie emigrantów; jak się panu w Ameryce żyje, co nowego w poezji, nad czym pan teraz pracuje, wyjąłem z plecaka trzy kilogramy wierszy z prośbą o napisanie wstępu do mojego zbioru wierszy pt. *156 listów poetyckich z Chicago do Pieszyc*, który planowałem wydać w Polsce, właśnie we wspomnianych już w tytule Pieszycach. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu poeta się zgodził, nawet nie musiałem długo go namawiać, wprawdzie zajęło mu to prawie pół roku, ale napisał. Dołączyłem przedmowę do maila, który wysłałem do Pieszyc, do Wydziału Promocji Miasta, który prowadził i finansował całe przedsięwzięcie i pech chciał, że słowo wstępne poety krakowskiego, gdzieś się zapodziało. Skład redakcyjny tworzyli Paweł Brzozowski, Sławomir Szel, Dawid Cech pracownicy wydziału promocji miasta, dyrektorka biblioteki Lidia Zakrzewska-Strózik, za korektę odpowiadała pani Jolanta Maniecka. Kilka lat później będąc w Krakowie zadzwoniłem do niego z prośbą o spotkanie, ale był zbyt zajęty, jednak wskazał miejsce (kawiarenka), gdzie zostawiłem dla niego ów tomik wierszy, bez wyjaśniania, dlaczego nie ma w nim jego

wstępu. Krępowałem się, że tego nie dopilnowałem, bo to był mój obowiązek.

Wstęp pana Zagajewskiego był dla mnie dużą radością i wyróżnieniem i na prawdę bardzo się nim cieszyłem, tym bardziej, że sam mistrz Miłosz zawsze, ale to zawsze mówił o twórczości Zagajewskiego z dużym uznaniem i to publicznie podczas odczytów i prywatnie wśród znajomych. Pamiętam, że raz, a było to w roku 1988 po spotkaniu poetyckim, w którym pan Czesław wygłosił odczyt o poezji polskiej, gdy podszedłem pogratulować mu wystąpienia, ze zmartwioną miną zapytał się mnie, czy mi się podobało? Nie zaskoczył mnie tym pytaniem, bo już na tyle dobrze go znałem, że spodziewałem się takiego pytania. Często pytał się znajomych, co myślą o jego najnowszej książce, odczycie, publikacji czy wierszu, wieczorze autorskim i nawet nie czekając na moją odpowiedź dodał, zapomniałem wspomnieć Staszka Barańczaka. Tak, pan Adam Zagajewski był jego zdecydowanym faworytem bardzo go sobie cenił jako człowieka i poetę.

Moja znajomość z poetą Adamem Zagajewskim trwała ponad 25 lat, a poeta swoim „stwierdzeniem, poznałem Lizakowskiego dzięki Miłoszowi" zawsze w towarzystwie „zamykał mi usta". Pan Adam należał już do chyba jednych z ostatnich ludzi, których poznałem w towarzystwie pana Miłosza mieszkając w San Francisco i studiując w Berkeley.

Jego śmierć jest i będzie wielką stratą dla polskiej poezji.

***

Fragment eseju pt. „Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą”.

Galeria

Zdjęcia Adama Zagajewskiego są autorstwa Adama Lizakowskiego, zostały zrobione podczas spotkania w Teatrze Chopina w Chicago w 2012 roku, copyright Adam Lizakowski.





- 





Złota reneta



Akwarela, fot. azazelok z Pixabay

Ryszard Sawicki *(Namysłów)*

Pokój, w którym spędziłem ponad dwadzieścia lat życia był na pierwszym piętrze willi z ogrodem i miał balkon z oszklonymi drzwiami. Obok drzwi były jeszcze dwa okna. Za oknem po lewej stronie drzwi rosła złota reneta. Widać ją lepiej przez okno małego pokoju, który zajmowała ciotka Stefa, starsza siostra matki, która wychowała mnie i mego młodszego brata. Większy pokój zajmuje teraz ojciec, a ja zajmuję mniejszy pokój ciotki kiedy tylko jestem gościem u rodziców we Wrocławiu. W pokoju jest szafa na odzież, ta sama, w której trzymała wszystkie swoje rzeczy ciotka, a także półki z książkami, stolik i wąskie łóżko. Na

ścianach pomieściłem dużo obrazów, chociaż powierzchnia ścian jest ograniczona.

Za oknem po prawej stronie widać od zewnątrz ścianę domu oddzielającą obydwa pokoje, naprzeciw dęby w parku po drugiej stronie ulicy, a po lewej złotą renetę. Zewnętrzną powierzchnię ściany domu tworzą kwadraty jasnego tynku, między którymi są czarne, smołowane belki. Nad nią widoczny jest fragment dachu. Gdy bywam u rodziców, patrzę na renetę i na drzewa w parku, mam ten sam widok, który miała ciotka Stefa przez ponad trzydzieści lat. Po wojnie, w czasie której ona, jak i najstarsza siostra matki, Jana, straciły mężów, ciotka Stefa zamieszkała u nas i zajmowała się mną i bratem, robiła zakupy stojąc w długich kolejkach, które formowały się codziennie przed sklepami w latach pięćdziesiątych, gotowała i sprzątała w czasie gdy matka była w pracy, a także podczas jej paroletniej rekonwalescencji po chorobie i operacji jakie przeszła po urodzeniu brata. Wieczorami rodzice bywali zmęczeni i nie mieli ochoty na zabawy z dziećmi. Ojciec przychodził późno, bo pracował zwykle dłużej by dorobić do marnej pensji. Matka często nie czuła się najlepiej. Tylko w niedzielę ciotka mogła od nas odpocząć, bo wyjeżdżaliśmy zwykle do dziadków, rodziców ojca, którzy mieszkali w Trzebnicy, małym mieście położonym dwadzieścia kilka kilometrów na północ od Wrocławia. Kiedy wracaliśmy do domu, mówiliśmy jej dobranoc, czasem przez zamknięte już drzwi pokoju, czasem wchodziliśmy i opowiadali o tym co się

zdarzyło po drodze i na miejscu.

Dojeżdżaliśmy do Trzebnicy wąskotorową lub normalną koleją, a w późniejszych latach autobusami. Najbardziej lubiłem wąskotorową kolejkę, bo jechała wolno, zatrzymywała się często na przystankach, na których wsiadali ludzie ubrani i mówiący nieco inaczej niż ludzie w mieście, a przez okna można było oglądać krajobraz, zrazu nizinny, podmiejski, po kilkudziesięciu minutach pagórkowaty, urozmaicony. W dni pogodne widać było na horyzoncie sylwetkę samotnej Ślęży, a nawet zaczynające się za nią pasmo wyższych gór. Zawsze próbowałem zgadnąć jak daleko tym razem będzie można sięgnąć wzrokiem, ale rzadko udawało mi się, dzięki czemu widok zaskakiwał czymś nowym. Niekiedy były to burzowe chmury nadchodzące od zachodu, niekiedy piękny zachód słońca, a w jesieni lub na wiosnę warstwa ciężkiej mgły, która była zwykle szara, lecz w szczególnych okolicznościach zabarwiała się czerwienią zachodu lub jaśniała pod bezchmurnym niebem.

Opowiadaliśmy ciotce o ładnym zachodzie lub o gościach, których nigdy nie brakowało u dziadków. Na wiosnę mieliśmy dla niej nowiny o kwitnących podmiejskich sadach, a jesienią o kolorowych lasach bukowych. Dolina Trzebnicy położona była za Wzgórzami Trzebnickimi, więc miała nieco inny klimat. Drzewa owocowe kwitły tam trochę później lub wcześniej niż w ogrodach willowych dzielnic Wrocławia. Wtedy ciotka mówiła nam o

ogrodzie przy domu jej i matki rodziców, Heleny i Stefana Czekanowskich w Buczaczu. O tym, jak bawiły się z czterema innymi siostrami, w tamtym ogrodzie, w tamtych pięknych, przedwojennych latach. Jak wchodziły na drzewa, żeby zrywać czereśnie, wiśnie, jabłka i gruszki. O tym, jak ciotka Wiesia spadła z gałęzi, ale na szczęście nic jej się złego nie stało. O tym jak wspaniałe były zbiory owoców ze wszystkich drzew z ogrodu, który położony był na stoku doliny Strypy. Legendę ich dzieciństwa powtarzała każda z ciotek na swój sposób, gdy do nas przyjeżdżały. Opowieści ciotki Stefy powtarzała też matka, ale to Ciotka Stefa miała najwięcej do powiedzenia, bo mogła porównać pracę w buczackim i wrocławskim ogrodzie. Po wojnie i utracie domu, ciotka Stefa starała się odtworzyć namiastkę ich utraconego raju. Pielęgnowała róże i dalie, siała marchewkę i sałatę. W tych wiosennych zasiewach pomagaliśmy jej czasem z bratem. Jednak tylko renety sprzed okna jej pokoju uznawała za porównywalne do jabłek z Buczacza. Podobnie jak i matce, brak jej było krzewów jaśminu i bzu otaczających dom, bo cóż to znaczyły dwa gatunki bzu i tylko jeden krzew jaśminu.

Gdy obrodziły trzy jabłonie we wrocławskim ogrodzie, ciotka próbowała robić wino z jabłek. Było jednak zwykle za kwaśne albo zamieniało się w ocet. Z drzew buczackich jabłka były znacznie lepsze, komentowała ciotka. Jesienią jadała renety. Obierała je powoli, starannie, a potem starała się by na ogryzku nie zostało zbyt wiele miąższu. Najbardziej cieszyło ją kwitnące

na wiosnę drzewo. Wtedy wołała mnie i brata i pokazywała jak wschodzące słońce prześwietla tonącą w białych kwiatach koronę drzewa. Patrzcie, to prawie jak w Buczaczu, mówiła i milkła, pogrążając się we wspomnieniach. Cóż mogliśmy wiedzieć o tamtym nieistniejącym ogrodzie. Niewiele, ale powinniśmy byli zapamiętać, że był taki ogród, w którym sześć dziewcząt z koleżankami mogło zniknąć z oczu rodziców i tylko głośne nawoływania pozwalały przekonać się, że żadna nie wdrapała się za wysoko, ani nie robi czegoś równie niebezpiecznego. Opowieści ciotki Stefy wydawały się nam najprawdziwsze, bo to jej pomagaliśmy przy pracy w ogrodzie we Wrocławiu. Zamyśloną nad obrazami z wiosennego ogrodu pamiętam ciotkę najlepiej.

Jabłoń za moim oknem miała w tym roku szczególnie wiele jabłek. Ojciec starannie poukładał je na strychu i w piwnicy. Nawet zwycięsko walczył z myszami, które się dowiedziały o zbiorach. Matka twierdzi jednak, że i w tym roku renety nie były najlepsze. Lato było zbyt suche, jesień zbyt deszczowa. Kiedy spadały z drzewa i kiedy zrywałem je przy pomocy płóciennego worka zawieszonego na długim kiju, co wieczora zjadałem kilka złotych renet. Zaraz po zerwaniu z drzewa były najlepsze, twarde i soczyste. Ale i teraz jem je z przyjemnością. Oczywiście nie mogę porównać tych renet do tamtych, z buczackiego ogrodu. Mogę tylko sądzić, że są porównywalne. I mogę powtarzać sobie w myśli zapewnienia ciotek i matki. A także powtarzać za Rilkem

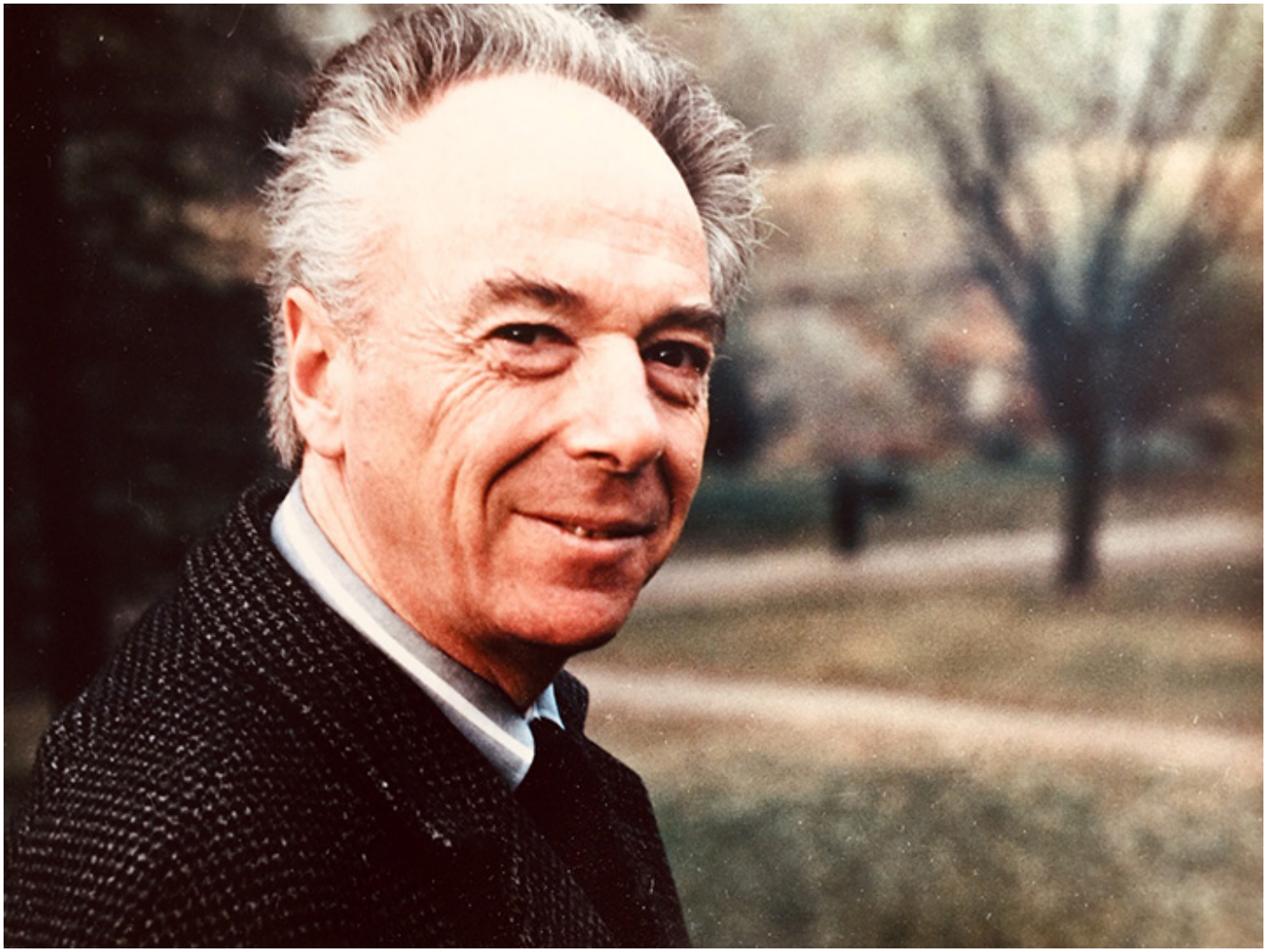
fragment dziewiątej elegii duinejskiej. Te o drzewie i oknie. I o tym, że może jesteśmy tu właśnie po to, by wymawiać takie proste słowa jak dom, most, fontanna, brama, dzban… drzewo owocowe, okno. Albo, najwyżej: kolumna, wieża. Ale przede wszystkim: dom, drzewo, okno. Powinniśmy powtarzać takie słowa choćby samym sobie.

Ryszard Sawicki, urodzony w Kamiennej Górze, wrocławianin, w latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, tłumacz. Ukończył Uniwersytet Wrocławski, bibliotekoznawstwo. **Techniki:** malarstwo sztalugowe, pastele, akwarele, grafika, heliograwiura. **Wystawy:** indywidualne i grupowe w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji. **Prace w zbiorach:** Uniwersytet Toruński (Archiwum Emigracji), Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, Carmel Art Association (Carmel, CA). **Publikacje:** eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: *le Temps Pluriel* (Paryż), *Wiadomości* (Londyn), *Twórczość* (Warszawa), *Zeszyty Literackie* (Paryż-Warszawa), *Format* (Wrocław), *Środa Literacka* (Londyn). **Nagrody:** złoty i srebrny medal za portrety (IPA, Washington, D.C.: 1986, 1987). **Członkostwo:** Carmel Art Association (1993-), International Platform Association (1986-1994). **Wymieniony w:** Polish American Who’s Who, Directory of American Portrait Artists.

Złączył nas czas.

Część 1.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem – o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.



Jarosław Abramow-Newerly, fot. Marek Nowicki

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *(Austin, Teksas)*

Z Pana wszechstronną twórczością zarówno poetycką, jak i kompozytorską zetknęłam się podczas spektaklu Salonu Poezji, Muzyki i Teatru Marii Nowotarskiej pt. „Dopóki śpiewam ja” w 2002 r. Do Toronto, które miało stać się moim nowym emigracyjnym domem, przyjechałam w 2001 roku. Jakim więc szczęściem było dla mnie odkrycie, że w Kanadzie są nie tylko wybitni polscy twórcy, ale i polskie gazety. Mając doświadczenie zarówno akademickie, jak i dziennikarskie mogłam natychmiast włączyć się w nurt

twórczości polskiej poza krajem. Spektaklem byłam oczarowana. Znałam wykonywane na scenie w Toronto wielkie przeboje, wiele razy słyszałam je w Polsce, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to Pan jest autorem większości z nich, zarówno tekstu, jak i muzyki. Znamy dobrze wykonawców, bo to z nimi mamy bezpośredni kontakt, a autorów mniej. Jak to jest, kiedy utwór, który się stworzyło, wchodzi na stałe w powszechny obieg, będąc zapisem i ikoną pewnego czasu? Co czuje wtedy autor?

Jarosław Abramow-Newerly: *(Toronto)*

Ilekroć słyszę, że jestem znanym autorem, to przypomina mi się opowieść mojego Ojca Igora Newerlego, który opowiadał, jak w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku wysyłano pisarzy w teren na wieczory autorskie. I na jednym takim wieczorze w dużej hali fabrycznej organizator tego spotkania, działacz kulturalno-oświatowy zaprezentował Ojca tak: – *Witamy sławnego pisarza*, po czym nachylił do Ojca i szeptem spytał: – *Przepraszam, a jak nazwisko?* Od tej pory z tą pisarską sławą jestem ostrożny.

Ale wracając do Pani pytania w sprawie piosenek to na pewno najbardziej cieszyłem się kiedy usłyszałem w radio moją piosenkę, gdy byłem bardzo młody, jak i teraz kiedy jestem bardzo stary. Miło mi bowiem, że te piosenki wciąż żyją i są śpiewane, chociaż niektóre z nich liczą sobie ponad pół wieku. I ma Pani absolutną rację, że na ogół znamy piosenkę, a nie wiemy

kto ją stworzył. Powiedziałbym nawet, że im piosenka jest bardziej znana tym bardziej staje się własnością ludu i jest anonimowa. Przykładem pieśń harcerska i biesiadna „Płonie ognisko i szumią knieje”. Wszyscy ją znamy, a mało kto wie, że jej autorem jest poeta Jerzy Braun, stryj reżysera i pisarza Kazimierza Brauna.

Pisząc książkę o scenie polskiej w Toronto „Teatr spełnionych nadziei” poznałam też z nagrań wcześniejszy spektakl poświęcony Pana twórczości „Bo ja tak mówiłem żartem” z 1996 r. Jak Pan wspomina te dwa Pana benefisy w Toronto i czym zaowocowały?

Tę Pani książkę uważam za niezwykle cenną. Ocala bowiem pamięć o wspaniałej działalności Marii Nowotarskiej i stworzonego przez Nią Salonu Poezji, Muzyki i Teatru. Maria Nowotarska ułożyła z moich piosenek dwie rewie i wystawiła je niezwykle profesjonalnie. Te spektakle były na tyle udane, że publiczność była pewna, że w tym kształcie przeniesione zostały z jakiegoś teatru w Warszawie, tymczasem było to oryginalne dzieło reżyserskie Marii Nowotarskiej. Jako aktorka brawurowo odśpiewała i odtańczyła moją piosenkę: – *Jestem wiecznie młoda koza, nie mimoza, nie skleroza, chociaż kończę dziewięćdziesiąt dziewięć lat! Do stu lat brakuje roczek, śpiewająco go przeskoczę, ale błagam ja nie lubię takich dat!* Na potrzeby tych rewii napisałem specjalnie walca na koloraturowy sopran Marii

Knapik-Sztramko, która w tej rewii z powodzeniem wystąpiła, a także „Marsza Don Kichotów”, którego sam zaśpiewałem. Tekst tego marsza szczęśliwie zacytowała Pani w swojej książce dzięki czemu ocalał.

„Dopóki śpiewam ja”, słowa i muzyka Jarosław Abramow-Newerly, śpiewa Jerzy Połomski

Polem realizacji Pana talentu zarówno kompozytorskiego, jak i jako autora tekstów piosenek oraz skeczów stał się słynny Studencki Teatr Satyryków – kuźnia talentów, z którym był Pan związany od 1954 do 1969 roku. STS był antidotum na socjalistyczną rzeczywistość, wentylem bezpieczeństwa dla młodych, zdolnych, pełnych pomysłów ludzi. Pana twórczość z okresu STS-u znalazła się w publikacji „Myślenie ma kolosalną przyszłość” (1957).

To była debiutancka książka zawierająca teksty z STS-u moje, Agnieszki Osieckiej, Andrzeja Jareckiego i Witolda Dąbrowskiego. Tytuł pochodził z nazwy jednego z naszych programów i zrobił taką karierę, że stał się potocznym powiedzeniem i zawędrował do książki Henryka Markiewicza i Anrzeja Romanowskiego „Skrzydlate słowa”.

O tym czasie napisał Pan piękną książkę „Lwy STS-u”, w której opowiada Pan o historycznych już postaciach i opisuje wiele bardziej lub mniej znanych wydarzeń. Jakby

teraz, po latach, podsumował Pan to, co dał Panu STS?

STS mnie uformował jako satyryka, kompozytora i aktora. We wczesnej młodości chciałem zostać aktorem. Nawet przygotowywałem się w 1953 roku do egzaminu na PWST razem z moim kolegą ze szkoły Marianem Jonkajtysem. W ostatniej chwili stchórzyłem i nie poszedłem na egzamin. On zdał i został aktorem. Mnie zaś z aktorstwa wyleczył STS. Tam dużo grałem i śpiewałem w naszych operetkach. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że dużo lepiej jest pisać niż występować i mieć wieczory zajęte. Dużo większą satysfakcję dawało mi siedzenie na widowni i obserwowanie reakcji publiczności na moje utwory. Teatr jest okrutnym weryfikatorem tekstu. I albo publiczność klaszcze i się śmieje, albo milczy i chrząka ze znudzenia. Dzięki STS-owi uwierzyłem we własne siły. Odnalazłem własną wartość i przestałem być tylko synem sławnego Ojca. Podpisywałem się Abramow i nikt nie wiedział, że słynny pisarz Igor Newerly to mój Ojciec.

Mówił Pan, że mama miała talent muzyczny, a tata pisarski. Tata opowiadał Panu bajki, a mama śpiewała. Czy z domu wyniósł Pan tę wszechstronność?

Na pewno zdolności muzyczne odziedziczyłem po swojej Mamie. Ona była przed wojną nauczycielką śpiewu i główną śpiewającą aktorką kukiełkowego Teatru „Baj”. Jeszcze jak byłem w wózku

wśpiewywała we mnie różne piosenki. Bardzo się zdziwiła, kiedy nagle, jeszcze nie mówiąc, powtórzyłem za nią znaną biesiadną piosenkę „Za dzień, za rok, za chwilę razem nie będzie nas”, pohukując w takt słów „uu uu uuu, uuuuu bu!”



Mama, pani Basia – Barbara z Jareckich, fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

Mając pięć lat ułożyłem pierwszy swój utwór muzyczny „Galop koni” Opus 1, słowem zapowiadałem się na Mozarta. Niestety miałem bardzo duże kłopoty z czytaniem i pisaniem nut. I nic z tego nie wyszło. Ale miłość do pisania piosenek pozostała. I rozkwitła właśnie w STS-e. Co śmieszniejsze do STS-u zaproszony zostałem jako kompozytor. Napisałem wtedy do tekstu wydrukowanego w „Po prostu” walca „Na UW, na UW, na

UW – chcesz coś dostać, musisz postać dłużej tu!", który był śpiewany przez naszą studencką polonistyczną grupę. Na jakiejś wieczornicy podszedł do mnie Marek Lusztig i powiedział: – *Słyszałem, że skomponował kolega walca. Może przyjdzie kolega na próbę do naszego Studenckiego Teatru Satyryków.* I tak w marcu 1954 roku dołączyłem do grupy STS-u przyprowadzając ze sobą z kolei moich przyjaciół z polonistyki Andrzeja Jareckiego i Witolda Dąbrowskiego. Na pewno to, że zostałem kompozytorem w dużym stopniu zawdzięczam naszemu niezapomnianemu kierownikowi muzycznemu Markowi Lusztigowi, który tych moich amatorskich kompozycji nie wyśmiał, tylko poważnie potraktował. Dzięki Niemu uwierzyłem w swoje kompozytorskie możliwości i z radością komponowałem piosenki i operetki. Miałem wrodzony dar układania chwytliwych melodii. Byłem jednak tak zwanym kompozytorem gwizdanym. Tego określenia zwykł używać Władysław Szpilman, z którym jako literat pracujący w radio, zasiadałem w komisji oceniającej nadsyłane piosenki. Szpilman siadał do pianina i przegrywał zgłoszoną fortepianówkę. Jak była napisana z błędami zwykł mawiać: – *To jest kompozytor gwizdany. Musi się trochę jeszcze pouczyć* – i dyskwalifikował utwór.

W 1961 roku napisałem dla STS-u muzykę do przedstawienia „Oskarżeni" Andrzeja Jareckiego i Agnieszki Osieckiej. W sumie dwanaście piosenek, które brawurowo zaśpiewali Alina Janowska i Wojciech Siemion. Z „Oskarżonych" pochodzą takie znane

piosenki jak „Widzisz mała jak to jest”, „Polka kryminalna” czy „Ballada o Chmielnej” Agnieszki Osieckiej. Zaprosiłem na premierę Władysława Szpilmana. Po przedstawieniu uścisnął mi rękę i powiedział: – *No, panie Jarku. Muzyka się Panu udała. Gratuluję*. – *To właśnie ja jestem tym kompozytorem gwizdanym, panie Władysławie* – odparłem. Szpilman się zaśmiał i powiedział: – *Czasem zdarzają się wyjątki.*



Jarosław Abramow-Newerly z Agnieszka Osiecką, w głębi w głębi aktor Marian Kubera, fot. Sławomir Biegański, z arch. J. Abramowa-Newerlego.

Pana doświadczenie jako satyryka zaowocowało powstaniem szeregu jednoaktówek, spektakli teatralnych, słuchowisk radiowych, sztuk pisanych dla Teatru Telewizji. Poruszał w nich Pan problemy mitów społecznych, przemian obyczajowych, konfrontację tradycji z nowoczesnością. Pana sztuki takie jak „Derby w pałacu", „Darz bór", „Słowik Warszawy", weszły już na stałe do kanonu literatury polskiej. Za sztukę „Anioł na dworcu" otrzymał pan nagrodę im. S. Piętaka (1965) i nagrodę fundacji im. Kościelskich (1967). Kazimierz Braun przypomniał, że reżyserował Pana sztukę „Żaglowce, białe żaglowce" w 1970 r. w doborowej obsadzie (Fijewski, Zaczyk, Rudzki) w Teatrze Telewizji, a potem sztukę „Klik, klak" w 1973 r. teatrze w Lublinie.

Oglądałem niedawno „Żaglowce, białe żaglowce" w finezyjnej i doskonałej reżyserii Kazimierza Brauna. Znakomicie tę sztukę obsadził. Przypomnę, że sztuka ta dotyczy spotkania po latach kolegów z jednej klasy, a ściślej dwóch przyjaciół. Głównego bohatera, w którego eleganckim mieszkaniu odbywa się to spotkanie, przezywanego w szkole Gruchą oraz prymusa klasy Jędrusia Górniaka. Pierwowzorem „Żaglowców" był skecz z STS-u „Zjazd koleżeński". W skeczu tym i w sztuce pada kwestia. Jeden z byłych uczniów rozgląda się po klasie i mówi: – *Coś mało nas, kurka wodna*. Wtedy w skeczu to był żart. Teraz po latach smutna prawda. Czołowy aktor STS-u Ryszard Pracz do dziś lubi

to zdanie powtarzać na wszystkich zjazdach STS-u. Ze znakomitej obsady „Żaglowców" żyją już tylko trzy osoby – ja, Kazimierz Braun i Irena Szczurowska, która była wtedy młodą, piękną dziewczyną. W tym spektaklu starego profesora Puchaczewskiego, przezywanego Puchaczem zagrał wielki polski aktor Kazimierz Opaliński. Miał on niezwykły dar w prosty sposób wywoływać wzruszenie.

Była to wtedy ostatnia jego rola w telewizji. Byłem na nagraniu tego spektaklu. Wówczas aktorzy grali na żywo i jak ktoś się pomylił, to trzeba było zaczynać od początku. Opaliński w swojej kwestii się pomylił i aktorzy musieli zacząć grać od nowa. Uczynili to bez szemrania z wielkiego szacunku dla swojego starszego kolegi, uznanego za swego mistrza. W pewnym momencie stary Puchacz wywołuje do tablicy byłego ucznia, obecnie majora Ludowego Wojska Polskiego i zaczyna pytać o lewe dopływy Wisły. Ten oczywiście nie pamięta. – *Lewe?* – próbuje zagadywać. – *Tak lewe* – odpowiada profesor. – *Ale licząc od gór czy od morza? To znaczy od dołu czy od góry? – Jak ci wygodnie. Byle były wszystkie* – mówi profesor. Rolę tę wybornie zagrał Henryk Borowski. Stał z baranią miną i strzygł uchem jak koledzy w ławkach mu podpowiadają. Najgłośniej podpowiadał obecny ksiądz, którego profesor musiał uciszyć. Księdza tego grał Lech Ordon, aktor o niezwykle dobrodusznym wyglądzie. Ilekroć się z Ordonem po latach spotykałem to zawsze wspominał: – *Pamięta Pan nasze „Żaglowce"? To była sztuka!* –

wykrzykiwał.

Jedynym uczniem pamiętającym zasady moralne, których uczył stary Profesor był Jędruś, prymus klasy, którego wyśmienicie zagrał Tadeusz Fijewski. – *Kim jesteś teraz, Jędruś?* – pyta wzruszony profesor. – *Trzymam taksówkę, panie profesorze* – odpowiada Fijewski z bolesną miną. Dla Kazimierza Rudzkiego, który grał adwokata i u kolegi dyrektora generalnego, wysokiego działacza partyjnego, szukał poparcia, żeby wstąpić do Zbowidu, czyli Związku Kombatantów, musiałem dopisać rolę, bo nie chciał wystąpić w epizodzie. Cenzura nie puściła Zbowidu i musiałem go zastąpić Polskim Związkiem Kajakowym. Chciałem, żeby ten wysoki działacz partyjny był ministrem, ale to wówczas było niemożliwe. Nie mniej Witold Kałuski doskonale zagrał takiego zadowolonego z siebie dygnitarza.

Prawdziwą kreację w „Żaglowcach" stworzył Adam Mularczyk, aktor o diabolicznym wyglądzie i charakterystycznym głosie, który wsławił się rolą konia w pamiętnym przedstawieniu „Czekając na Godota" Samuela Becketta w reżyserii Jerzego Kreczmara w Teatrze Współczesnym w Warszawie oraz rolą Profesora Pęduszki w Radiowym Teatrze „Eterek" Jeremiego Przybory. Adam Mularczyk w pewnym czasie zrezygnował z aktorstwa i wraz żoną, naukowcem wirusologiem Zofią Wróblewską, koleżanką z pracy mojej Żony Wandy w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie, wyemigrował do

Ameryki i osiadł w klasztorze Częstochowa pod Filadelfią. Tam założył teatr. Podczas okupacji pracował w teatrze razem z Karolem Wojtyłą.

Adam opowiadał mi, że jak kardynał Wojtyła przyjechał do Filadelfii i spotkali się razem, to przyszły papież wykrzyknął: – *Adam! Ty tu? – A ja odkrzyknąłem: – Lolek! Ty też tu?* – i rzuciliśmy się sobie w ramiona. Jeden z zakonników, który bardzo dokuczał w pracy Adamowi podszedł do niego i spytał z podziwem: – *Pan zna kardynała? – A ja odwróciłem się do niego i powiedziałem dwa słow*a: – *„Odpierdol się”*!

Adam był bardzo żywiołowy i dowcipny. Teraz gdy oglądałem ten wspaniały spektakl to nie mogłem się nadziwić jak głęboko poruszyliśmy z Braunem problem czasu. Byliśmy obydwaj młodzi, mieliśmy po trzydzieści parę lat i na własnej skórze nie przeżyliśmy problemu starości, o którym mówił profesor do swoich uczniów: – *Po coście tu przyszli. Złączył was czas! Ten największy hycel. Przeglądacie się jeden w drugim i sprawdzacie czy jeszcze żyje.*

W puencie sztuki taksówkarz Jędruś mówi do swojego kolegi, głównego bohatera: – *Zastanów się, Grucha, dlaczego ty zrobiłeś karierę, a ja nie!?* I to jedno zdanie cenzura kazała mi wykreślić. Pojechałem do telewizji. Przyjęła mnie bardzo serdecznie dyrektor Teatru Telewizji Irena Bołtuć i w bardzo oględny sposób

prosiła, żebym to zdanie usunął. – *Ależ pani Ireno? Bez tego zdania nie ma mojej sztuki!* – broniłem się. – *Ja świetnie rozumiem. Ale taki nakaz mamy z góry!* – argumentowała. W końcu doszło między nami do ugody i zostało skreślone jedno słowo, mianowicie „Nie". Ale Fijewski tak to świetnie zagrał i machnął z rezygnacją ręką, że dla wszystkich było jasne dlaczego nie zrobił kariery w PRL. Był synem aptekarza w przeciwieństwie do Gruchy, Stanisława Zaczyka, który miał doskonałe pochodzenie społeczne. Dziś sądzę, że to jedno końcowe zdanie Irena Bołtuć puściła na własną odpowiedzialność. Wiem też, że po nadaniu spektaklu miała przykrości. Mianowicie zaprotestowało Ludowe Wojsko Polskie twierdząc, że w sztuce ośmieszyłem polskiego oficera.

Jarosław Abramow-Newerly, „Żaglowce, białe żaglowce", reż Kazimierz Braun, 1970 r., Teatr Telewizji
Tak długo rozgadałem się o „Żaglowcach", bo uważam ten spektakl za jeden z najlepszych w moim życiu i dziękuję za niego Kazimierzowi Braunowi. Potem w 1972 roku spotkaliśmy się razem w mojej sztuce „Klik-Klak", którą Kazimierz Braun wyreżyserował jako dyrektor Teatru imienia Juliusza Osterwy w Lublinie. Warto przypomnieć, że z jego inicjatywy przystąpiono w Lublinie do budowy nowego gmachu teatru.

Po wystawieniu w stanie wojennym głośnego spektaklu „Dżuma" według książki Alberta Camusa Kazimierz Braun został

pozbawiony dyrekcji Teatru Współczesnego we Wrocławiu i wyemigrował wraz z rodziną do Stanów Zjednoczonych. Tu został profesorem na Uniwersytecie w Buffalo. I szczęśliwy los zetknął go z Marią Nowotarską i Agatą Pilitowską, dla których napisał wspaniałe sztuki teatralne. „Helenę – rzecz o Modrzejewskiej", „Tamarę L" o słynnej polskiej malarce Tamarze Łempickiej, dalej sztukę o Marii Curie-Skłodowskiej i aktorce Poli Negri, słowem o Polkach emigrantkach, które zrobiły światową karierę. Jednocześnie stał się na emigracji moim kolegą dramatopisarzem. Dziwny los sprawił, że ja w Kanadzie z dramatopisarza przerodziłem się w prozaika, a on z reżysera w dramatopisarza.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwala oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

Część 2:

> Złączył nas czas. Część 2.

Zobacz też:

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*



„Dopóki śpiewam ja”, scena zbiorowa, w środku w koronie Jarosław Abramow-Newerly, fot. Jacek Kowalski

31 stycznia 2021 r. odbyło się spotkanie przez platformę Zoom z Jarosławem Abramowem-Newerlym, w ramach spotkań Klubu Historyka Austin Polish Society. Podczas wieczoru Pan Jarosław Abramow szalenie interesująco opowiadał o swojej pracy i życiu. Frekwencja dopisała, połączyli się uczestnicy z różnych miejsc na świecie. Możliwe, że na zainteresowanie twóczością pana Jarosława Abramowa wpłynęła też emisja serialu telewizyjnego

„Osiecka”, w którym pojawia się grana przez aktora jego postać, pokazane zostały też czasy Studenckiego Teatru Satyryków i przypomniane znane przeboje jego autorstwa. Otrzymuję wciąż pytania, czy nagranie ze spotkania będzie dostępne w Internecie. Odpowiadam: nagrania nie będzie, ale ukaże się wywiad z pisarzem. Tymczasem przypominam fragment mojej książki „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” o Jarosławie Abramowie-Newerlym i poświęconych jego twórczości dwóch spektaklach w Toronto. (JSG).

Warszawa, dn. l Vll 1996 r.

Kochana Marysiu!

Przepraszani, że tak długo nie odpisywałem na Twój piękny list – i zaraz nie podziękowałem za wspaniałe zdjęcia i taśmę. Duże zdjęcie na tekturce (podejrzewam mistrzowską rękę Jurka) stoi przed moim biurkiem i w chwilach zwątpienia wściekłości, które mnie coraz częściej ogarniają spoglądam na nie – i zaraz mi cieplej na sercu. Dzięki całej Waszej Kochanej Rodzinie. Jak się ma takich ludzi wokół siebie – to zaraz skrzydła rosną. ″Gęsi za wodą″ nigdy bym ich nie napisał – gdyby nie Twoja¸Jurka i Agaty zachęta i wiara.

(…)

Ściskam Cię kochana Marysiu, Agatko i Jurku najmocniej – ucałowania dla Maćka, Tomka i Panny Matyldy – faworytki Dziadka Jerzego – Jarek (Abramow-Newerly).

***

Maria Nowotarska od początku pobytu w Kanadzie wiedziała, że w Toronto mieszka na stałe jeden z twórców Studenckiego Teatru Satyryków (STS-u), sam Jarosław Abramow-Newerly. Nie sądziła jednak, że znajomość z artystą, którego nie znała w Polsce osobiście, przerodzi się w wielką, serdeczną przyjaźń i to z całą rodziną.

Jarosław Abramow-Newerly przyjechał do Kanady w 1985 roku. Razem z żoną Wandą – biologiem z doktoratem z wirusologii i 5-cio letnią córeczką Marysią, zamieszkali najpierw w Kingston – Ontario, a następnie przenieśli się do Toronto. Apartament w wieżowcu w downtown, przy Charles Street, niedaleko Queens Parku i Uniwersytetu, który spadł im „jak z nieba", okazał się przyjazny. Stopniowo poznawali fascynujących ludzi z pasją i wchodzili w artystyczne torontońskie środowisko.

Jarosław Abramow-Newerly:

Przyjechałem tutaj jako człowiek teatru. Wówczas w Teatrze Polskim w Warszawie szła moja sztuka „Maestro" w reżyserii

Kazimierza Dejmka. Była wielkim sukcesem. W Toronto więc nie mogłem sobie miejsca znaleźć, brakowało mi teatru i ludzi teatru.

***

W II poł. lat 80. przyjechał do Toronto teatr z Warszawy ze sztuką Romana Brandstaettera „Milczenie", zrealizowaną w Londynie przez Tadeusza Lisa. Po pewnym czasie, gdy reżyser zdecydował się zostać w Kanadzie, zaprosił do siebie Jarosława Abramowa z żoną. – To moja teściowa, przedstawił Marię Nowotarską, która właśnie przyjechała z Polski.

Jarosław Abramow-Newerly:

Marię Nowotarską znałem jako cenioną, wszechstronną i bardzo popularną aktorkę krakowską. Ale wiedziałem to od żony, bo żona z Krakowa. Chodziła do teatru, znała przedstawienia i wiedziała, że jest to duże nazwisko. Wtedy wielu wybitnych aktorów spoza Warszawy, nie występujących w telewizji i filmach, nie było znanych szerokiej publiczności. Dopóki Zaczyk, Seniuk czy Budzisz-Krzyżanowska nie przenieśli się do stolicy i nie zaczęli grać w filmie, nikt o nich w Polsce nie słyszał. Ofiarą takiego stanu rzeczy była też Maria, której popularność ograniczała się do Krakowa. A przecież takich aktorek jak Maria, o takiej urodzie, królewskiej wręcz aparycji i tak niezwykle

szlachetnych cechach, w tej kategorii wiekowej prawie już nie ma.

***

Tym bardziej żal było później pisarzowi usłyszeć od Marii: *zdecydowałam się zrezygnować z zawodu i poświęcić się wychowaniu wnuków. Chcę pomóc córce, która jest młodą aktorką z trójką dzieci. To dla mnie jest ważniejsze.*

Wtedy wyglądało na to, że aktorka pożegnała się z zawodem.



Jarosław Abramow-Newerly i Maria Nowotarska podczas spektaklu „Dopóki śpiewam ja”, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto

Jarosław Abramow-Newerly:

W latach 80. takich przypadków odejścia od zawodu przez aktorów spotkałem parę. Pamiętam np. spotkanie w sklepie mięsnym na Kensington Market z Tomkiem Stockingerem, którego dopiero widziałem w sztuce „Mord w Katedrze” w reżyserii Jerzego Jarockiego w Teatrze Dramatycznym w

Warszawie. A tu nagle spotykam go tutaj. Zdumiony pytam: *Co pan tu robi?* A on mówi: *Wie pan, ja miałem już tak dosyć tego zawodu, że zrezygnowałem.* Ja mu na to: *Dla aktora każdy miesiąc, każdy rok jest ważny. – Ale są ważniejsze sprawy* – odpowiedział.

Tomek Stockinger nie był jedynym. Wówczas było tu spore środowisko polskich aktorów, którzy podejmowali różne poza aktorskie zajęcia. Np. aktor Jacek Kowalczuk, który m.in. występował w moim musicalu „Kto mi śpiewał serenadę" w Teatrze na Targówku, Małgosia Paruzel, aktorka łódzka, Krysia Adamiec, znana z STS-u, Teatrów Rozmaitości i Dramatycznego w Warszawie, czy gwiazda serialu „Klan" Agnieszka Kotulanka. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że żaden z nich nie miał tej pasji, siły i przekonania, żeby wokół siebie skupić grupę ludzi i założyć rodzaj teatru, który się nieprawdopodobnie potem rozwinął.

***

O swoim spotkaniu z Jerzym Pilitowskim, Jarosław Abramow napisał w recenzji ze spektaklu „Dożywocie" Aleksandra Fredry w reżyserii Jerzego Kopczewskiego-Bułeczki[1].

(…) Twardosz był chyba największym zaskoczeniem. Zagrał go Jerzy Pilitowski, znany architekt z Krakowa, w życiu prywatnym

mąż znakomitej aktorki Marii Nowotarskiej, która obok Kopczewskiego-Bułeczki jest drugą opatrznościową duszą tego teatru. Ponieważ siedziałem obok wnuka pana Pilitowskiego, syna Agaty i Tadeusza Lisa (Tomka) – chłopiec jako bystre dziecko teatralne w mig mnie poinformował, że dziadek w tej roli jest wspaniały. – Dziadek zrobi tylko, proszę pana, tak! – tu wyciągnął ryjek – i już jest śmiesznie! Lis junior się nie mylił. Twardosz tak zrobił i było śmiesznie. Oszczędny i skupiony, szczególnie w scenie liczenia pieniędzy wypadł wspaniale. Rola tym godniejsza pochwały, że był to debiut inżyniera Pilitowskiego (jeśli odliczyć młodzieńczy występ w szkolnym teatrze). (…)

I tak znajomość teatralnych niespokojnych duchów i ich rodzin zaczęła się rozwijać, aby zaowocować na scenie.

Maria Nowotarska:

Pamiętam długie rozmowy z Jarosławem Abramowem. Mam nawet zdjęcie, jak on siedzi w tym naszym głębokim fotelu, a ja przy nim w fartuszku, taka uśmiechnięta, już nie artystka wprawdzie, ale jednocześnie oko mi się skrzy, bo rozmawiamy o ciekawych rzeczach.



Maria Nowotarska i Jarosław Abramow-Newerly w apartamencie przy Oakmount Rd. w Toronto, „kwaterze głównej” teatru, jak mówił Jerzy Pilitowski

***

Jarosław Abramow-Newerly kilka lat wcześniej z okazji 40-lecia pracy artystycznej chciał przygotować spektakl muzyczny, polegający na scenicznym montażu znanych piosenek. Rozmawiał na ten temat w Teatrze Ateneum, z którym był związany, potem z innymi reżyserami, lecz wszyscy uważali, że

jest to pomysł zbyt ryzykowny pod względem komercyjnym. – *Ten materiał, proszę pana, jest bardzo ciekawy, ale nie mamy na niego pomysłu* – mówili. Maria Nowotarska materiałem była zachwycona i mimo trudnych warunków pracy, nie widziała takich przeszkód, których nie można byłoby pokonać.

W 1996 roku na deskach sceny zaaranżowanej w Old Mill Salon Poezji i Muzyki wystawił Wielką Rewię Przebojów opartą na piosenkach Jarosława Abramowa-Newerlego pt. „Bo ja tak mówiłem żartem”[2], potraktowaną jako jubileusz. Był to pierwszy tak szeroki przegląd dorobku kompozytorskiego Jubilata. Oprócz piosenkarzy i aktorów do udziału w spektaklu zostali zaproszeni artyści o wielkich operowych głosach – Maria Knapik-Sztramko, sopran koloraturowy, mieszkająca w Ottawie i związana z Operą Lyra oraz Janusz Wolny, baryton, były solista Opery Krakowskiej, Wrocławskiej, Teatru Wielkiego w Warszawie, mieszkający wtedy w Montrealu. To oni zaśpiewali piosenki: „Miłości moja”, napisaną w 1968 roku, (Janusz Wolny) i „Mój głos sam uleciał”, skomponowaną specjalnie na ten wieczór dla Marii Knapik-Sztramko. W obydwu przypadkach było to prawykonanie. Maria Nowotarska zajęła się komponowaniem całości spektaklu pod względem układu i pomysłów inscenizacyjnych, Maciej Jaśkiewicz podjął się kierownictwa muzycznego. Do tego doszedł akompaniator – Józef Sobolewski, który jest nie tylko wspaniałym muzykiem umiejącym współpracować zarówno z piosenkarzami, jak i aktorami, ale

również gra na wielu instrumentach – fortepianie, harmonii i saksofonie. Przedstawienie zostało więc bogato opracowane pod każdym względem.

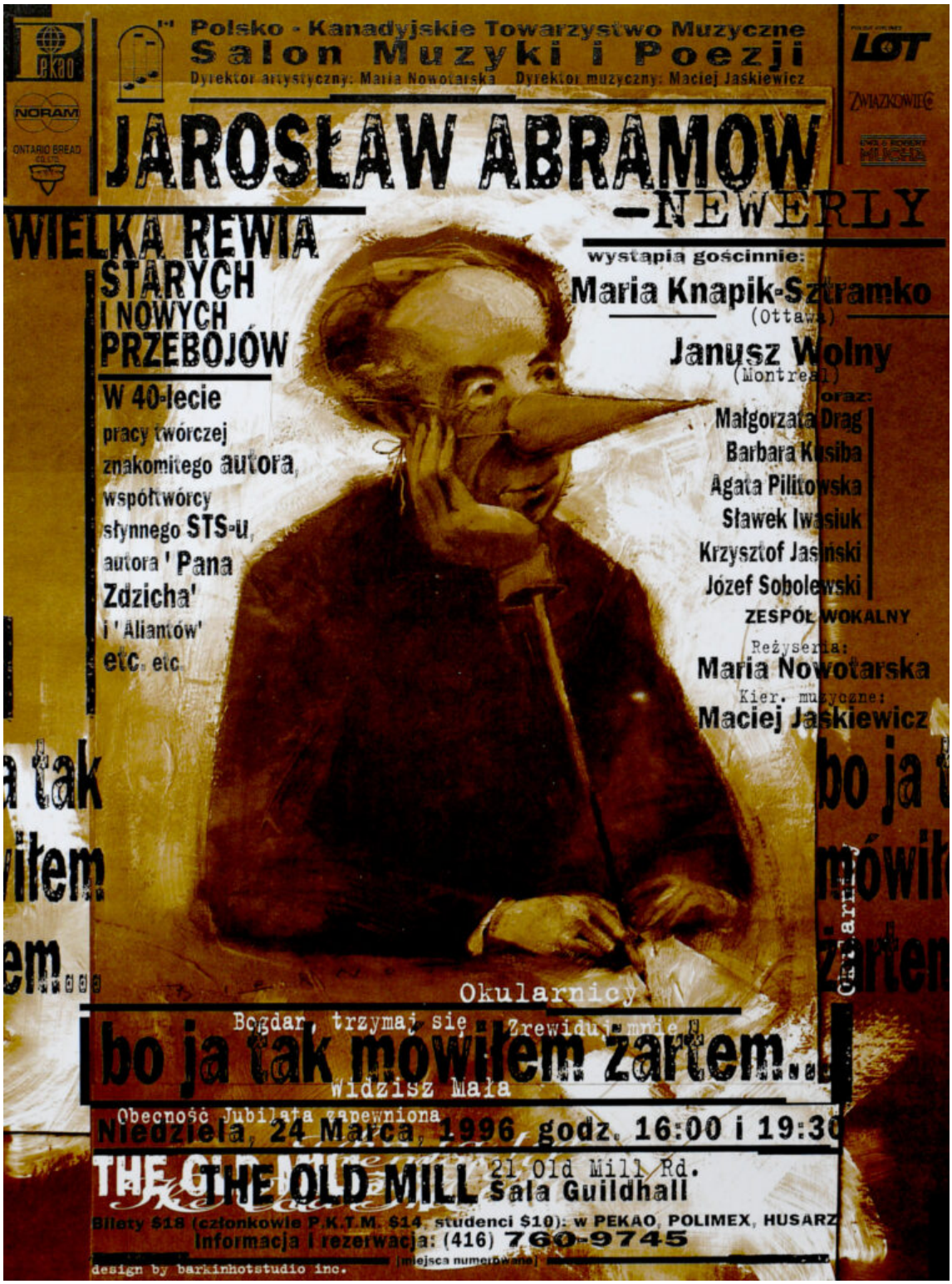
Spektakl zaczął się piosenką w zbiorowym wykonaniu „Wszystko tak jak w starym kinie” i ta sama piosenka zabrzmiała na finał. W międzyczasie zmieniały się klimaty od wesołych i roztańczonych po sentymentalne. Nie zabrakło ciekawych pomysłów inscenizacyjnych, ilustrujących treść piosenek.

Na końcu sam Jubilat w towarzystwie całego zespołu zaśpiewał żartobliwą piosenkę „Powrót taty”:

> *Na prawo dzieci, raz, dwa, trzy,*
>
> *Na lewo dzieci, raz, dwa, trzy,*
>
> *A każdy mój potomek*
>
> *Otrzymać musi domek.*
>
> *Wybaczcie, że niektóre z was*
>
> *Widzicie tatę pierwszy raz.*

Lecz ja mam więcej dzieci ach,

Niż Jan Sebastian Bach



„Bo ja tak mówiłem żartem”, 1996 r., plakat projektu Tadeusza Biernota

Henryk Dasko na gorąco zanotował swoje wrażenia w recenzji „Teatr prawdziwy”[3].

Wbrew pozorom, nie jest tołatwy materiał. W przedstawieniubierze udział kilkanaście osób, w tym wielu amatorów, a Nowotarska ze zrozumiałych powodów woli pracować z zespołami mniejszymi, gdzie łatwiej wcielić w życie wskazówki reżysera. (…)

W zespole wyróżniają się kobiety, które z powodzeniem mogłyby się pojawić na dowolnej scenie, w dowolnym gronie. Maria Knapik-Sztramko, rewelacyjna sopranistka z Ottawy, znana dotąd z operowych arii, okazuje się urodzoną szansonistką kabaretową o magnetycznej prezencji scenicznej i ciepłym, łagodnym poczuciu humoru, tak ważnym przy ironizujących tekstach Abramowa. Znakomicie i ekspresyjnie śpiewa trudnych „Okularników” Agata Pilitowska, ze spektaklu na spektakl rozszerzająca swój warsztat aktorski; a Małgorzata Drąg imponuje nie tylko skalą głosu, ale i ogólnym profesjonalizmem. Barbara Kusiba, jedyna amatorka w tym zespole, wykazuje zaskakujący talent interpretacyjny i dramatyczny w brawurowym wykonaniu dwujęzycznej, polsko-francuskiej piosenki „I była plaża”. Jednak największe i zasłużone brawa zbierała sama Maria Nowotarska, z ogromnym entuzjazmem śpiewając piosenkę

„Jestem wiecznie młoda koza”.

Abramow, z usposobienia człowiek ciepły i liryczny, pisze znacznie lepsze piosenki dla kobiet niż dla mężczyzn, i to te właśnie melodie gwiżdże się po wyjściu z przedstawienia. Ale i tu nie zabrakło kompetentnych wykonawców: Janusza Wolnego, obdarzonego silnym głosem i niespożytą energią, Krzysztofa Jasińskiego, aktora dużej kultury scenicznej oraz Sławka lwasiuka, odtwórcę charakterystycznego, o nieoczekiwanej vis comica.

(…) Swym ostatnim spektaklem Salon Poezji i Muzyki Marii Nowotarskiej i Macieja Jaśkiewicza wyszedł poza ramy amatorskiej, czy też pół amatorskiej produkcji. „Bo ja tak mówiłem żartem…” może być wystawione w tejże obsadzie, bez znaczących zmian, na jakiejkolwiek profesjonalnej scenie. Absurdem jest, że ów spektakl, w który włożono ogrom wysiłku, grany jest jak dotąd przez jedno popołudnie i jeden wieczór, że Salon – a także inne polskie sceny w Toronto, nie ma stałego locum, garderoby, kostiumów, scenografii, sprzętu, rekwizytorni… Absurdem jest wreszcie, że gdyby nie konsekwentne i hojne popieranie polskiego Teatru przez szefów przedstawicielstwa LOT-u i dyrektora Janusza Szatobę z Pekao, gdyby nie dobra wola kilku sponsorów, zaprzyjaźnionych już to z autorem spektaklu, już to z dyrekcją Salonu – przedstawienia by nie było. Czy to ważne? Bardzo ważne, albowiem ten teatr jest

elementem naszej kultury. Nie, nie kultury emigracyjnej, kultury polskiej.

Jarosław Abramow-Newerly:

To było dla mnie bardzo ważne spotkanie. Przypominano moje teksty kabaretowe, piosenki dla tutejszej publiczności. Była pełna widownia. Zobaczyłem, że moje utwory są ciągle aktualne. Wiele osób się pytało, gdzie to przedstawienie było wystawiane w Polsce i nie mogli uwierzyć, że to tutejsza produkcja, a nie spektakl przeniesiony z Warszawy.

***



„Dopóki spiewam ja”, 2002 r., plakat projektu Joanny Dąbrowskiej

Niezwykle przyjazny odbiór piosenek przez torontońską publiczność spowodował, że po sześciu latach od Wielkiej Rewii Piosenek w Old Mill, w 2002 roku Maria Nowotarska wraz z zespołem Salonu Poezji i Muzyki przygotowała kolejny wieczór poświęcony twórczości Jarosława Abramowa-Newerlego pt. „Dopóki śpiewam ja”. Tytuł został zaczerpnięty z piosenki w wykonaniu Jerzego Połomskiego *„…nic się nie martw, sytuacja nie jest zła – dopóki śpiewam ja!”.*

Spektakl „Dopóki śpiewam ja”, który odbył się tym razem w Burnhamthorpe Library Theatre w Mississaudze[4], został wzbogacony o konferansjerkę przybliżająca czas, historię, anegdotę i stał się spektaklem estradowym. Drugie przedstawienie nie było więc już tylko rewią piosenki, ale jak je nazwała Maria Nowotarska, był to „wieczór piosenki, satyry i sentymentu”.

Maria Nowotarska:

Moim zamierzeniem było stworzyć spektakl będący pretekstem powrotu do piosenek o różnym charakterze – krytycznym, humorystycznym lub poruszającym jakieś struny. Nie chciałam potraktować ich historycznie czy chronologicznie, tylko pokazać te najmilsze, najbardziej utrwalone, funkcjonujące w zapisie społecznym, w pamięci epoki. Powróciliśmy więc do pięknych piosenek, które dają też duże możliwości aktorskie. Wiele osób, mieszkających w Toronto czytając „Kładkę przez Atlantyk” czy „Nawiało nam burzę” nie ma świadomości, że wychowywali się na piosenkach Abramowa, takich, jak “Bo ja tak mówiłem żartem” – wielki szlagier Igi Cembrzynskiej, czy “Bogdan, Bogdan trzymaj się” z repertuaru Bogdana Łazuki. Poza tym np. tekst słynnych „Okularników” wprawdzie napisałaAgnieszka Osiecka, ale muzykę skomponował Abramow.

***



„Dopóki śpiewam ja”, od lewej: Helena Janik, Kinga Mitrowska, Małgorzata Maye, fot. Jacek Kowalski



„Dopóki śpiewam ja”, Kinga Mitrowska oraz para taneczna: Agata Hansen i Rafał Hołody, fot. Jacek Kowalski

Cel został osiągnięty, przedstawienie poruszyło różne struny, publiczność była zachwycona. Jeszcze długo po spektaklu żyła piosenka, śpiewana na koniec:

> *Przestrzegaj w życiu podstawowych zasad i praw.*
>
> *Jak Pan Cogito wagę sobie spraw*

do ciężkich spraw

Złocistych karpi nie czerp z wody,

gdzie mętny staw

I łatwych praw

i tanich praw nie szukaj na tej drodze.

Lecz idź, wciąż idź

O własne racje ucz się bić.

I idź, i idź,

Chodź łotrzy będą z Ciebie drwić

Ty idź i idź

(…)

przyjdzie dzień, że jasnym stanie się kochanie,

że ten bój był Twój, był Twój.

> *(…)*

Jarosław Abramow grał na fortepianie i śpiewał nowo skomponowany utwór, idąc razem ze swoją piosenką w „ten bój”[5]. Zrobiło się familiarnie, spontanicznej radości nie było końca, a kontakt publiczności z pisarzem przypominał dobre czasy klubów i rozśpiewanych literackich kawiarni. Nie przeszkadzało nieklubowe wnętrze, zatarła się granica między sceną a widownią i wszyscy się dobrze bawili. Ten spektakl był wspólnym dziełem bohatera, artystów i publiczności. Jarosław Abramow powtórzył za Jerzym Kołaczem proste słowa „Jak dobrze być z wami”. Na koniec parafrazując powiedzenie znajomej, piekącej doskonałe torty, „nie wiem, jak Wam, ale mnie smakowało”, zakończył przedstawienie stwierdzeniem: „Nie wiem jak Państwu, ale mnie się podobało”.



„Dopóki śpiewam ja”, Jarosław Abramow-Newerly i Helena Janik, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto

Spektakl został zainscenizowany jako rozbudowane widowisko teatralno-satyryczne w „piwnicznej” atmosferze. Piosenki zamieniały się często w scenki kabaretowe czy rodzajowe. „Walc Puru” w wykonaniu Kingi Mitrowskiej został zilustrowany tańcem, pary, która nagle pojawiła się na scenie, jakby obudziła się z piosenki i przemknęła w rytmie walca. „Okularnicy” wykonani przez Agatę Pilitowską i grupę SAS, byli uwspółcześnieni. Zamiast okularnika i okularnicy ze skryptami

pod pachą w stołówce, czy na ulicy zobaczyliśmy piękną, zgrabną dziewczynę w towarzystwie trzech chłopaków w czarnych okularach.

Maria Nowotarska wyraźnie bawiła się tekstami Jarosława Abramowa, konstruując wieczór pełen niespodzianek. Znany autor tekstów, pokazany został również, jako popularny kompozytor, z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Bohaterem przestawienia, stała się więc piosenka bystrego podpatrywacza rzeczywistości, z trafnym tekstem i muzyką. Znane i lubiane przeboje pojawiły się w nowej aranżacji. Duże tempo zmian na scenie i różnorodność klimatów sprawiła, że spektakl miał swój charakterystyczny koloryt i cały czas trzymał w napięciu. Żart, satyra, groteska, to jeden rodzaj klimatu. Słynny przebój „Bogdan, Bogdan, trzymaj się", który wykonywał Bogdan Łazuka, został rozbudowany w scenkę rodzajową i dostał swoje estradowe życie. Na scenie pojawiło się trzech Bogdanów, trzy żony i trzy „One". Podobnie piosenki „Bo ja tak mówiłam żartem", czy „Ja zazdroszczę Cyganom" zaaranżowane zostały „potrójnie". Takie przedstawienie zapełniło scenę. Widz nie był skupiony tylko na jednej, śpiewającej osobie, lecz na trzech, a każda z nich wykonywała utwór w odmienny sposób. „Potrójna" inscenizacja była też symboliczna. Niemal każdy „podpatrujący" utwór Abramowa parodiuje jakąś typową cechę charakteru. Zbiorowa interpretacja piosenek, podkreślała więc tę typowość, a jednocześnie zaznaczała indywidualność każdej z osób.



Maria Nowotarska jako „wiecznie młoda koza” w spektaklu „Dopóki śpiewam ja”, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto

W klimacie żartu i satyry, niezwykle humorystyczna i wręcz popisowa stała się piosenka w wykonaniu Marii Nowotarskiej „Jestem wiecznie młoda koza”. Z innych klimatów pojawił się sentyment i tęsknota, za życiem, marzeniami, utraconą miłością, przegapioną życiową szansą, w piosenkach „Ciekawe, gdzie on teraz jest”, „Była plaża”, „Ty mi pewnie nie uwierzysz”, „Spóźniony żal”, „Miłości moja”. Częstym tematem

„podpatrywania” Jarosława Abramowa tak w klimacie żartu, jak i sentymentu jest natura kobieca, którą autor rozważa na różne sposoby. Raz pokazuje zwykłą przekorę („Bo ja tak mówiłam żartem”), innym razem ciche, ukryte marzenie czy tęsknotę („Zrewiduj mnie”), a jeszcze innym razem uległość i jej konsekwencje – krzywdę wyrządzona przez życie („Leon mieszkał na Sadybie”). W spektaklu temat ten zajmował dużo miejsca, w różnych inscenizacyjnych układach i interpretacji.

Utwory zostały tak wybrane, aby pokazać rozmaitość nastrojów i klimatów w twórczości Jarosława Newerlego, a jednocześnie przypomnieć te ulubione teksty czy kompozycje, które zapadły głęboko w pamięci i kojarzą się z minionymi latami, otwierając na chwilę jakiś zamknięty rozdział w naszym życiu. Tak też było z zaproszeniem Jerzego Połomskiego, którego obecność wielu osobom kojarzy się z pewnym czasem, pewną epoką. Artysta miał wystąpić z krótkim recitalem, jednak na prośbę publiczności, a ku zaskoczeniu organizatorów występ zamienił się w wieczór wspomnień wypełniony większością znanych przebojów z repertuaru Jerzego Połomskiego. Artysta pojawił się na scenie tak jak przed laty, w nienagannym garniturze, równo uczesany, elegancki, tak samo śpiewający swoje przeboje. Stworzył swój własny styl i po cóż miałby go zmieniać. Śpiewa dla tych, którzy go słuchają, którzy go lubią. To jego głos towarzyszył dancingom, sylwestrom w lokalach, gdzie tańczono „Cała sala, śpiewa z nami”. To jego głos dobiegał z radia na wczasach, a

wakacyjny deptak brzmiał słonecznie piosenką „Bo z dziewczynami nigdy nie wie, och nie wie się”. Publiczność w Toronto bardzo gorąco przyjęła Jerzego Połomskiego. – *Była niesłychanie serdeczna atmosfera* – wspominał potem piosenkarz. – *Marysia zapowiedziała mnie po prostu po królewsku. Szalenie to było miłe. Czułem gorące przyjęcie mnie przez publiczność. Sprawiło mi to dużą radość.*



„Dopóki śpiewam ja”, M. Nowotarska i J. Połomski



„Dopóki śpiewam ja”, Agata Pilitowska

Jarosław Abramow-Newerly:

Te dwa wieczory przeszły moje oczekiwania. Sam wiem, jak trudno jest reżyserować taką składankę i doprowadzić do końcowego efektu. Wprawdzie sam wybrałem utwory i uczestniczyłem w końcowych próbach, ale całą kompozycją zajęła się Maria.

Nasza współpraca z Marią i Salonem utwierdziła mnie w tym, że powinienem nadal się starać o zrealizowanie moich muzycznych utworów w Polsce i doprowadzić do przedstawienia muzycznego, mimo wcześniejszych nieudanych prób. Z moich piosenek zrobiłem musical w nowym układzie na kilkanaście osób i dałem do Ateneum. Tak samo powiodła się moja współpraca z teatrem Rampa. Dziś mogę powiedzieć, że ten wielki autorski bodziec, zawdzięczam Marii. Gdybym po tych dwóch przedstawieniach w Kanadzie nie widział gorącego przyjęcia i spontanicznej reakcji publiczności, nie miałbym tak głębokiego przekonania, że powinienem namawiać reżysera i teatr do zaryzykowania w Polsce spektaklu muzycznego. Na przyjęcie mnie urzędowe „proszę złożyć, rozpatrzymy”, zwykle nie reaguję. Natomiast gdy widzę, że mnie ktoś słucha, że jest zainteresowany, to daję z siebie maksimum. I właśnie z Marią, Jurkiem Pilitowskim i Agatą tak jest. Czuję ich olbrzymią życzliwość, zaufanie do tego, co robię i wielki entuzjazm.



„Dopóki śpiewam ja”, Maria Nowotarska i Jerzy Połomski, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto



Po spektaklu „Dopóki śpiewam ja”, od prawej: Jarosław Abramow-Newerly, Kinga Mitrowska, Maria Nowotarska i Jerzy Połomski, fot. Jacek Kowalski

***

Jarosław Abramow-Newerly mieszkał w eleganckim domu, na małej, zacisznej uliczce, niedaleko stacji metra Lawrence w Toronto. Dwie ulice dalej, w wysokim apartamentowcu na najdłuższej ulicy świata Yonge Street, na siódmym piętrze mieszkaliśmy my z Jackiem. Mieliśmy widok z balkonu na kościół katolicki, w którym często odbywały się szkockie uroczystości z piskliwymi kobzami i piękny park, ciągnący się daleko, aż do jeziora Ontario. Lubiliśmy wieczorem wychodzić na spacer i

unikając zgiełku ruchliwej ulicy, zapuszczać się w pobliskie uliczki. Każda pora roku miała inny urok. Zimą skrzypiał śnieg pod stopami, ośnieżone choinki przed domami pochylały się w stronę ulicy, czuło się zapach świąt, a bożonarodzeniowe lampki, okrywały każdy z domów blaskiem tajemnicy. Wiosną i latem kwitły krzewy i kwiaty, otaczając ukryte w uliczkach domy swoim świeżym aromatem. Jesienią szeleściły liście i złociły dywanem wejścia domów. Jakże inna była ta dzielnica od równo poustawianych niskich kamienic, z kolorowymi witrynami sklepów na Yongu. Wystarczyło skręcić w bok i już było się w spokojnym miejscu, gdzie życie mieszkańców upływało miarowo, w jednostajnym rytmie świąt i pór roku. Patrzyliśmy czasami ciekawie w okna, we wnętrzach można było dojrzeć fortepian, sztalugi czy kominek z lustrem, a czasami leniwie wylegującego się na parapecie kota. Kim są ludzie, którzy tam mieszkają? – zastanawialiśmy się. Nie wiedzieliśmy, że w jednym z tych domów, koło którego przechodziliśmy nie raz, mieszka Jarosław Abramow-Newerly. Z pisarzem spotkałam się dopiero po wyjeździe do Stanów. Gdy tłumaczył mi przez telefon „direction” – wysiądzie pani na stacji metra Lawrence – nie mogłam uwierzyć, że przez cztery lata byliśmy tak bliskimi sąsiadami.

Dom pisarza okazał się przyjazny, ciepły i rodzinny. Tak właśnie wyobrażałam sobie miejsce, gdzie można się skupić. Uśmiechnięta pani domu i dużo staroci, przywołujących z pamięci polskie mieszkania międzywojenne, krakowskie czy

warszawskie. Do tego pies Webster i koty córki, przebywające chwilowo „na wakacjach”. W pokoju na wiszącej na ścianie fotografii poznałam „panią Basię”, mamę pisarza, która tak ciepło została opisana w „Lwach z mojego podwórka”. Tak to jest z pisarzami, że my, czytelnicy czujemy się z nimi blisko związani, jakby byli naszymi dawnymi znajomymi, wchodzimy do ich domu, jak w znajome progi,… a oni o nas wiedzą niewiele.

Jarosław Abramow-Newerly:

W Toronto mam taką swoją polską wysepkę. Zauważyłem, że czym jestem starszy tym bardziej się izoluję. Nie mam ochoty wyjść na imprezę, gdy np. jest brzydka pogoda. W domu mam warunki, spokój i dobrze mi. W Warszawie ciągle coś mnie rozprasza, spotkania, wizyty, promocje. A tu mam cały dzień dla siebie, wyprowadzam tylko psa i piszę. Ale wiem też, że mam tu przyjaźnie, takie jak z Marią, Jerzym i Agatą, które powstały przy wspólnej pracy. To bardzo ważne. Bardzo ich z Wandzią lubimy, bardzo ich cenimy. Niezwykle imponują nam swoją postawą i wielką skromnością.



Joanna Sokołowska-Gwizdka, Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny, wyd. Novae Res 2016 r.

Przypisy:

[1] Prapremiera sztuki zrealizowanej przez Teatr Polonia Scena Format miała miejsce w Toronto 2 października 1992 roku. Recenzja: Jarosław Abramow-Newerly, Z Bułeczką nie samym chlebem, „Związkowiec”, Toronto.

[2] Prapremiera, 24 marca 1996, The Old Mill, Jarosław Abramow-Newerly, Bo ja tak mówiłem żartem. Wielka Rewia

Przebojów, reżyseria: Maria Nowotarska, kierownictwo muzyczne: Maciej Jaśkiewicz, światło i dźwięk: Krzysztof Sajdak, organizacja spektaklu: Jerzy Pilitowski, wykonawcy: Malgorzata Drąg, Barbara Kusiba, Maria Nowotarska, Agata Pilitowska, Slawek Iwasiuk, Krzysztof Jasiński, zespół wokalny: Irena Haratym, Agata Milanowska, Kasia Mirczewska, Ola Turkiewicz, Krzysztof Jasiński, Wojciech Jaśkiewicz, Stefan Piszczek, Krzysztof Radecki oraz Maria Knapik-Sztramko i Janusz Wolny, fortepian Józef Sobolewski, syntetyzatory: Dariusz Król.

[3] Henryk Dasko, Teatr prawdziwy, „Gazeta", Toronto, 29-31 marca 1996 r.

[4] Prapremiera: 6 grudnia, 2002, „Dopóki śpiewam ja", spektakl poświęcony twórczości Jarosława Abramowa-Neverlego, scenariusz i reżyseria: Maria Nowotarska kierownictwo muzyczne: Józef Sobolewski, scenografia: Joanna Dąbrowska, światło i dźwięk: Krzysztof Sajdak, organizacja: Jerzy Pilitowski, projekt plakatu: Tadeusz Biernot, występują: Maria Nowotarska, Karolina Ingleton, Helena Janik, Małgorzata Maye, Kinga Mitrowska, Agata Pilitowska, Sławek Iwasiuk, Filip Świrski, Andrzej Pasadyn, duet taneczny Agata Hansen i Rafał Hołody, Grupa Studia Aktorskiego Salonu S.A.S. oraz gościnnie JERZY POŁOMSKI, Spektakle: Burnhamthorpe Library Theatre – 1350 Burnhamthorpe (7,8 grudnia 2002).

[5] Fragment recenzji, Joanna Sokołowska-Gwizdka, Salon muzyki, satyry i sentymentu, „Gazeta”, Torotno, nr 249, Nowy Rok 2003 r.

Zobacz też:

EMIGRACYJNE ROZMOWY TEATRALNE – JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY:

oraz

> „Teatr spełnionych nadziei” – opowieść o polskim teatrze w Toronto.

> Więcej niż monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

> Z Krakowa do Toronto czyli teatr dla emigranta

> Polskie teatry są wszędzie…

> „Teatr spełnionych nadziei”

Basha Maryanska. Horyzonty 2.



Basha Maryanska, The Underworld

Podczas pandemii stworzyłam ponad 60 prac w nowej technice. Wszystkie one mówią o okresie odizolowania, przerażenia, obaw, penetracji własnych emocji i uczuć do świata, bliskich i samej siebie, jak również do własnej twórczości. Eksperyment polegał na tym, że nie miałam dostępu do moich płócien, które zostały zamknięte w pracowni w innym mieście, odległym o pół godziny drogi samochodem. Budynek, w którym mieściło się moje studio oraz pracownie innych 10-ciu artystów stoi dalej zamknięty z powodu pandemii i nikt tam nie pracuje. A w domu czekał spokojnie nowy program graficzny w komputerze, cała sterta papierów, do akwareli, gwaszy, akryli i monotypii oraz farby do technik na spoiwie wodnym. Zaczęłam stopniowo, w

ciszy domowej zagłębiać się w te różne techniki, część z nich musiałam sobie przypomnieć z czasów studenckich w Akademii Sztuk Pięknych. Powrót do tych starych technik w połączeniu z nowymi, coraz bardziej pobudzał moją wyobraźnię i powodował chęć dalszej twórczości. Nie potrafię żyć bez tworzenia, tworzę więc na czym się da! Jedna praca i jeden
pomysł przywoływał następny pomysł i następną pracę w ten sam sposób, kiedy maluję na płótnie. Aż powstała cała kolekcja! Proces powstawania dalej trwa! Męczylam się tylko w okresie praktykowania tych technik, ale teraz to już czysta przyjemność i oddawanie nagromadzonych wrażeń, wspomnień, doznań, wyobrażeń. ***Basha Maryanska, Nowy Jork*.**

Basha Maryanska (Nowy Jork)

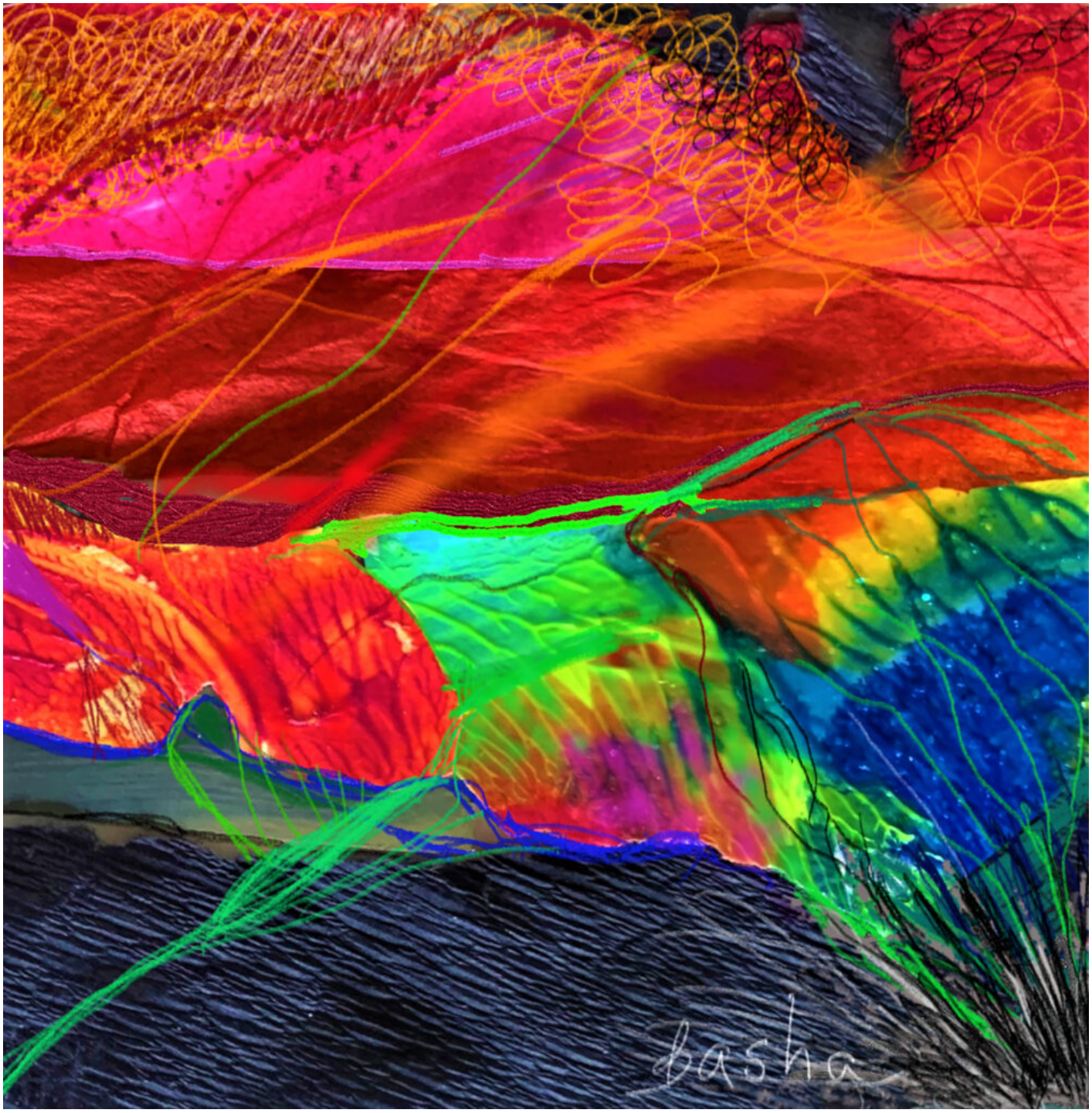
O sobie

Moja kreatywność unosi się i wyraża
Energią i ruchem.
Sztuka jest w ciągłym ruchu.
To jest ruch.

Moja sztuka jest zwierciadłem mojej duszy,
odzwierciedla to, co mnie inspiruje,
reaguje na to, co przynosi życie.

> Przekształcam przestrzeń,
> światło i cienie, kształty i ruchy
> w moje obrazy.
> Portretuję swoje uczucia i myśli,
> światło i atmosferę
> przy użyciu różnych technik.
>
> Wibracja kolorów, kompozycji
> i faktura odgrywają znaczącą rolę w moim malarstwie.
> Zapraszam wszystkie te cudowne rzeczy,
> aby przyjszły
> i płynęły jak strumień
> przeze mnie.
> Postanawiam pozostać otwartą i pozwolić na to.
>
> (tłum. z ang. J. Sokołowska-Gwizdka)

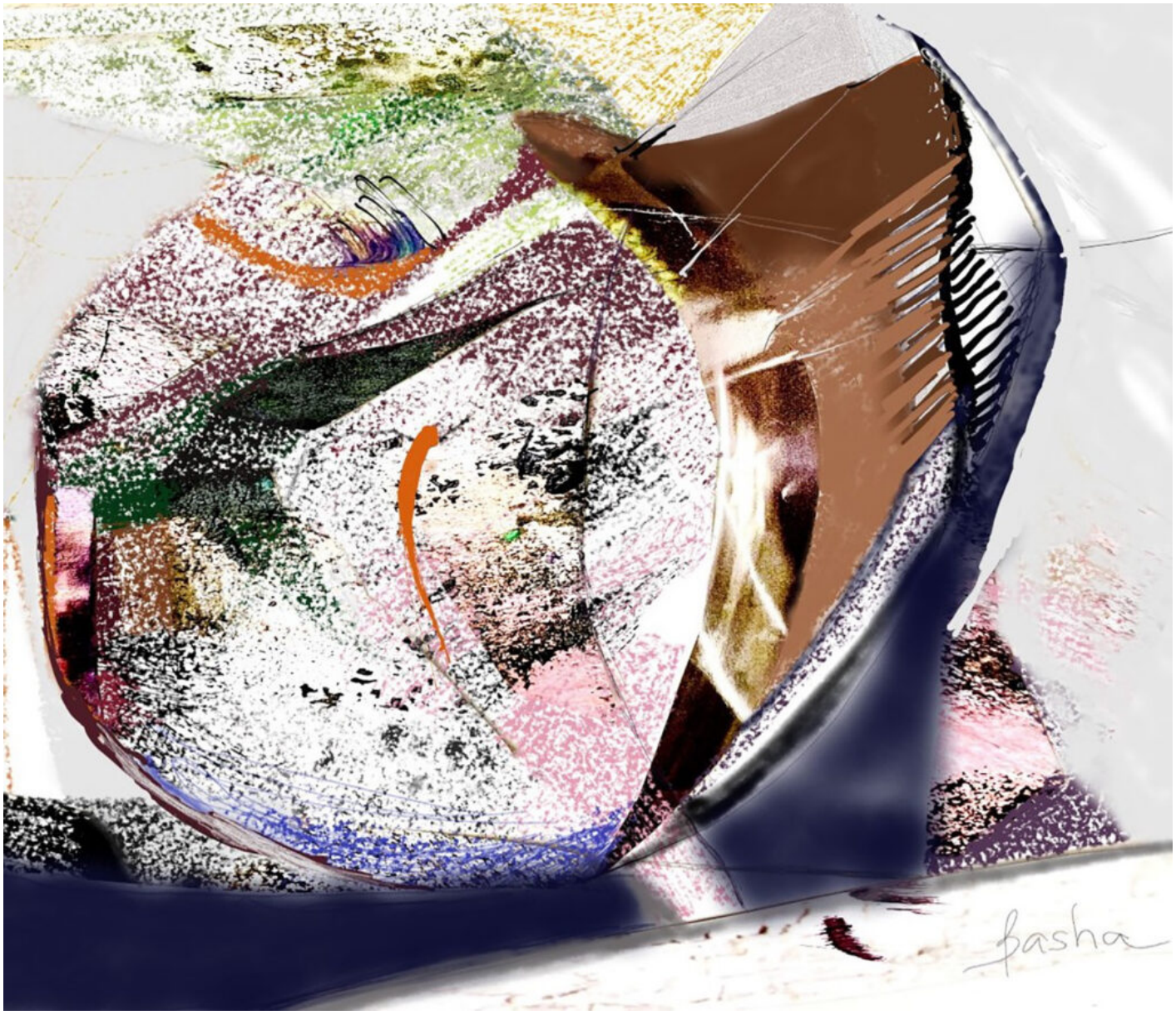
Galeria



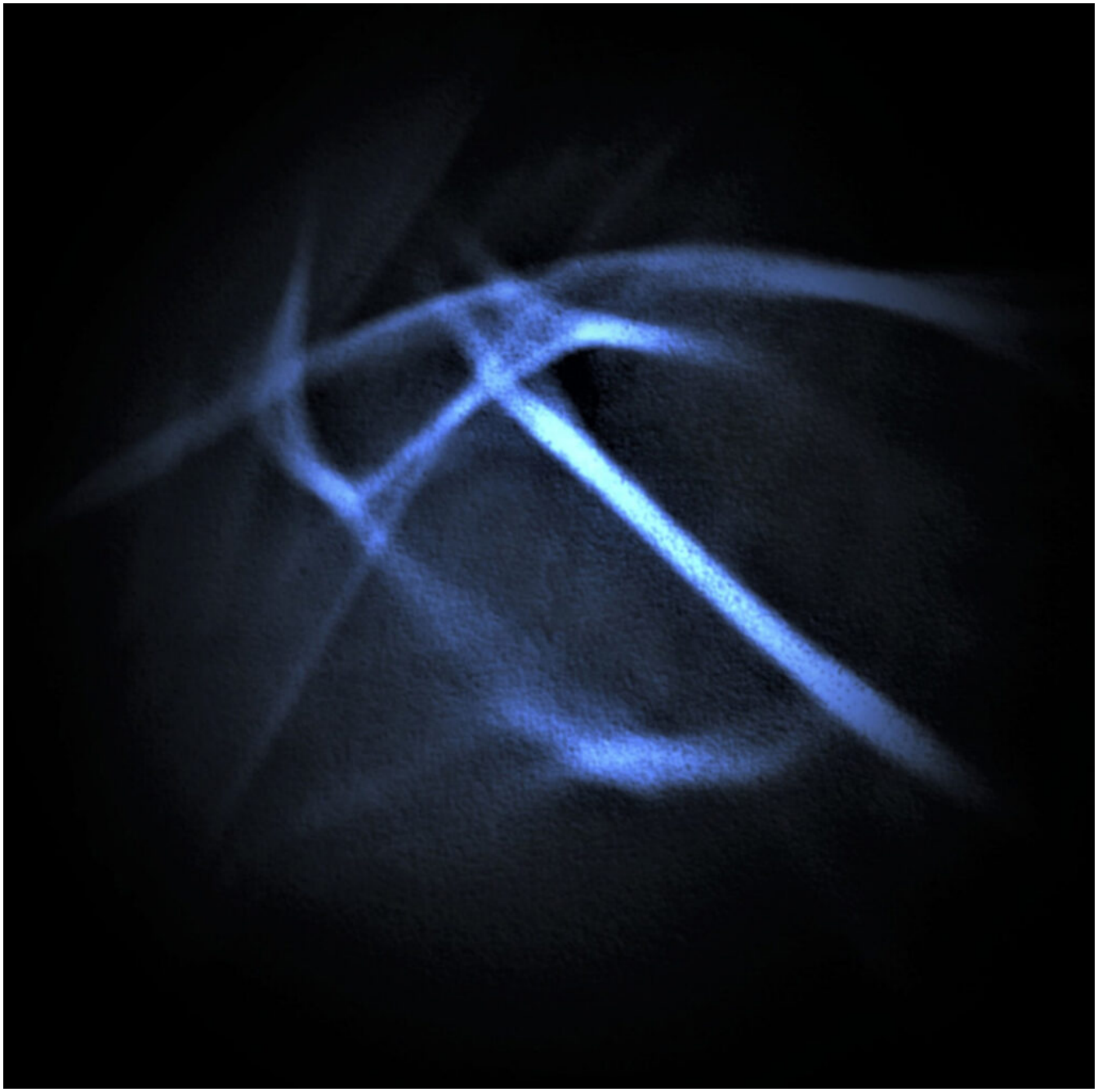
Basha Maryanska, On tp of imagination



Basha Maryanska, Time, Travel, Backwards



Basha Maryanska, Memory



Night Shadow



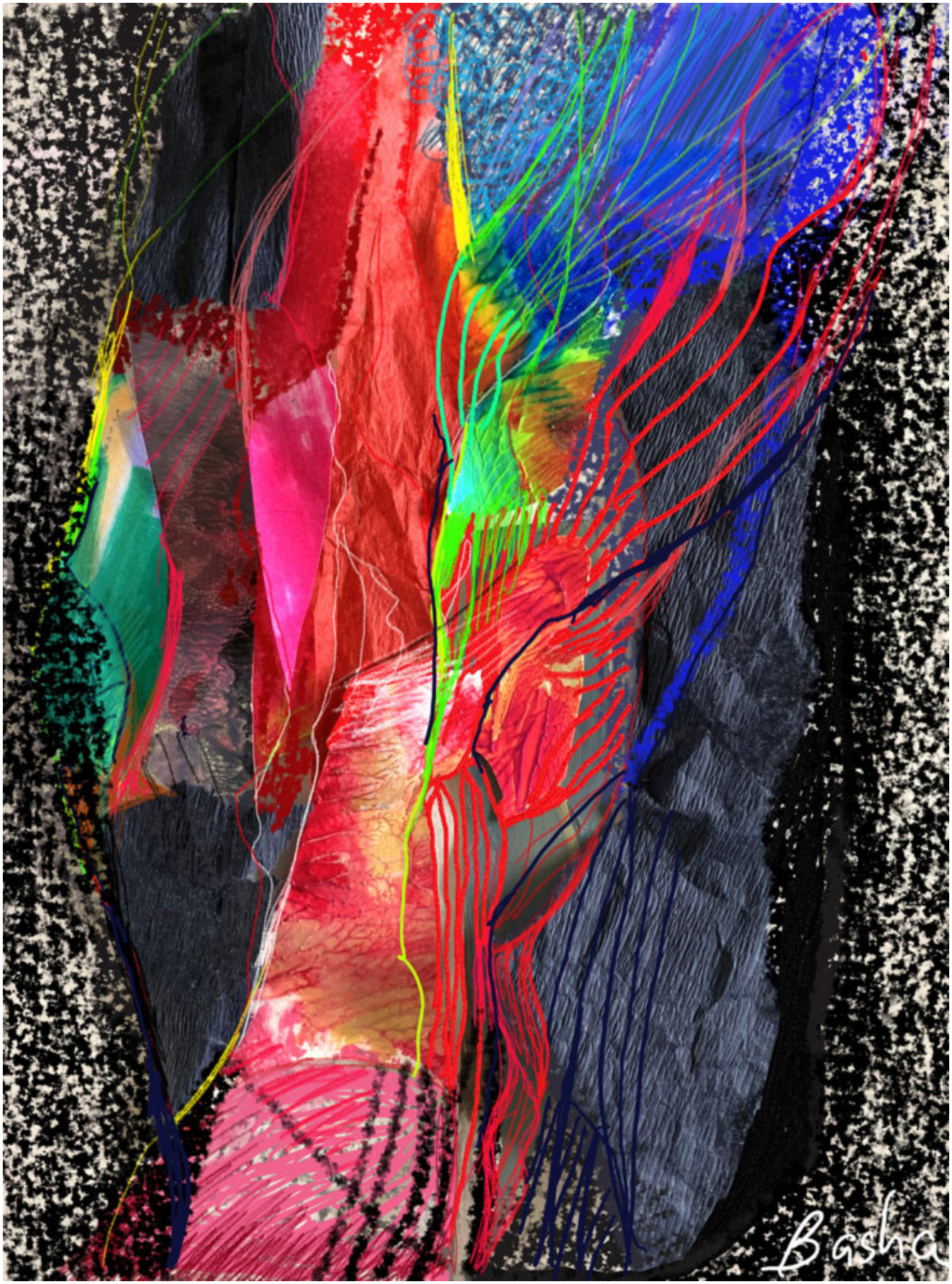
Moonlight Sonata



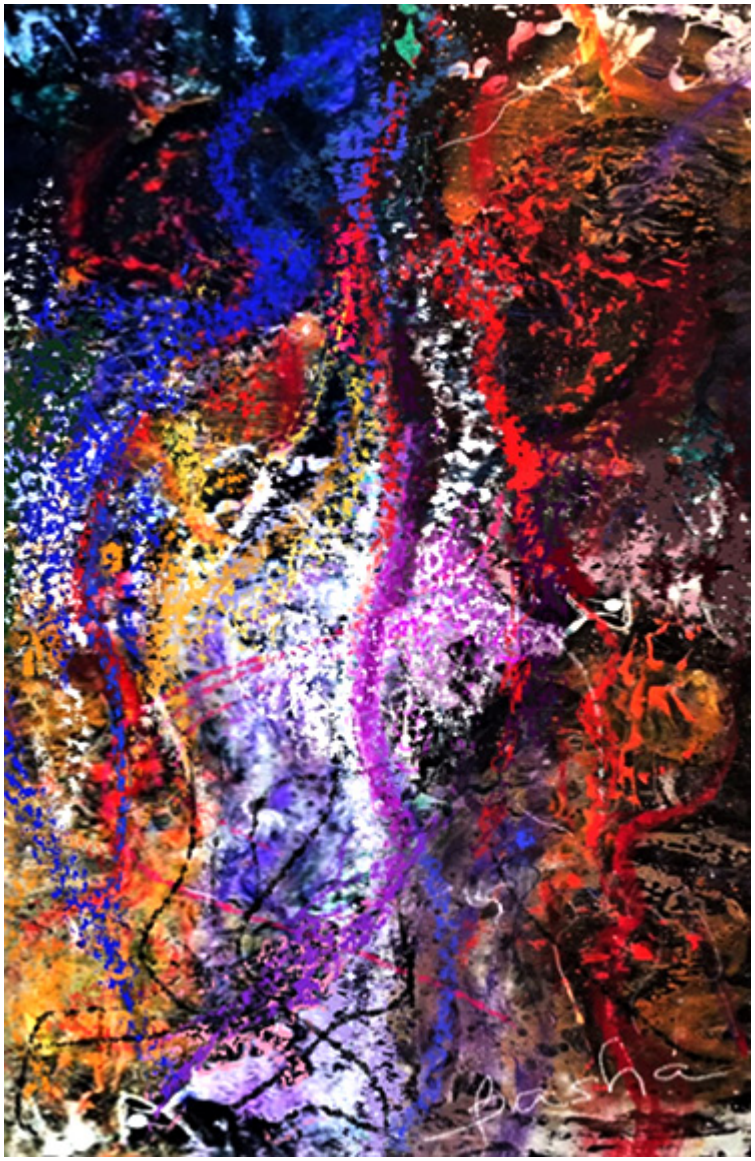
My Lotus


basha

Molecules



Tree of Abundance



The Great Unknown



Invasion of Microstructures


basha

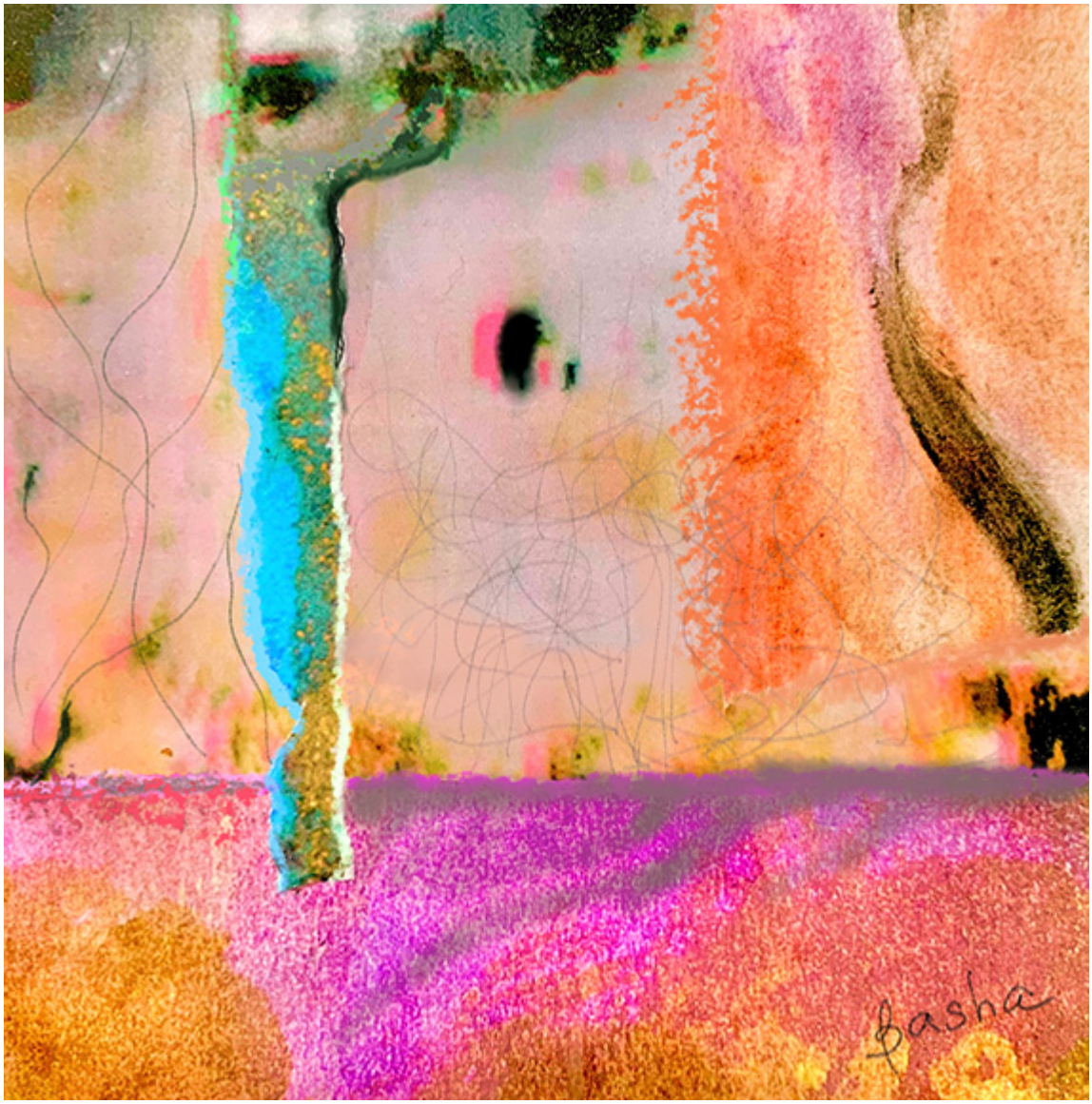
Pandemic Response


Basha

Sensitive Scars


basha

Parts of Memory



Basha Maryanska, Still Alive!

Część 1:

> Basha Maryanska. Horyzonty 1.

Zobacz też:

> Dyrygent europejskich kultur

„Fryzjerka. Na pokuszenie losu” – fragment książki

Danuta Błaszak *(Floryda)*



Fot. Jill Wellington z Pixabay

13 listopada, środa. U mamy na Bielanach

Nie podejmuj pochopnych decyzji. Zadzwoń i powiedz przepraszam. Zerwiesz z panem Romualdem i jak sobie poradzisz? – mama Jolki była wyraźnie zdenerwowana. – Z czego zapłacisz rachunki?

– Dlaczego z nim zrywasz? – dociekała ciocia Roma. – Może to jeszcze da się naprawić.

Jolka Kuźmicka, 32-letnia wysoka blondynka, przyszła pomóc swojej mamie w porządkach. Ciemny blond ze złotymi

pasemkami, profesjonalnie zrobiona fryzura. Jolka: wąskie biodra, drobne piersi, a z tyłu zaokrąglone pośladki. Dość duża miękka pupa, jakby trochę nie pasowała do tego, co z przodu.

Mieszkanie już lśniło czystością. Dwa małe pokoiki i znacznie większy salonik, w którym teraz kończyła sprzątanie. Pozostał jeszcze duży wełniany dywan w tureckie wzory. Mieszkanie umeblowane niekonsekwentnie, można powiedzieć, że z brakiem gustu. Przy ścianach regały z książkami pochodzące jeszcze z czasów, kiedy ludzie chcieli mieć w domu książki. Grubo ciosane drewniane półki obok meblościanki „Kowalskiego". Z sufitu opadał duży żyrandol z kryształowymi wisiorami, piękny, jak z dawnych królewskich pałaców. Szesnaście punktów oświetleniowych, małych żaróweczek, i mosiężne ramiona też lśniły czystością. Mieszkanie było dość wysokie jak na postkomunistyczne budownictwo, a projekt żyrandola był przygotowany na sale pałacowe i dziadek Jolki wiele lat temu musiał skrócić, a może odciąć, długi złoty łańcuch, który pierwotnie łączył żyrandol z sufitem.

Jolka włączyła odkurzacz.

W telewizji powtarzali reportaż z wiosennych pokazów lotniczych. Na dużym ekranie płaskim jak ściana kolorowe balony, samoloty ze smugami dymu, spadochroniarze trzymający się za ręce… Nikt tutaj tego nie oglądał. Matka lubiła, żeby

telewizor był włączony i rzadko zmieniała kanały.

Nawet w tym hałasie, przy warkocie odkurzacza i głośnej muzyce dochodzącej z telewizora, słowa matki docierały do niej z przeraźliwą wyrazistością.

– Jak żył twój ojciec, wódka była na stole, nie pieniądze. Chciałabym, żebyś potrafiła docenić to, co robi dla nas pan Romuald – powiedziała mama.

To było za mocno powiedziane i ciocia Roma, która siedziała do tej pory cicho w fotelu, musiała zareagować.

– Stefa, ty na świętej pamięci Xawerego nie wygaduj takich rzeczy. Nie potrafił zarobić, i zawsze było u was krucho z pieniędzmi, ale pijakiem nigdy nie był.

– Przypomnij sobie, Romka, jego kolegów. Wymiotowali do naszej wanny. Jeszcze teraz emalia odchodzi w tych miejscach, gdzie próbowałam odkazić chlorem.

– To było okazyjnie – sprostowała ciocia. – Co innego niż być pijakiem. Pili okazyjnie, a wymiotowali tylko raz. Ten bimber, który załatwiła Kwieta, pochodził z niepewnego źródła.

– No tak – zgodziła się mama. – Bimber nie był z Łomianek, tylko

z jakiegoś innego miejsca.

– I myśmy też wtedy chorowały – dodała ciocia. – Pamiętam, parzyłaś herbatkę miętową. Nawet ty piłaś, Stefa, chociaż bierzesz te swoje pigułki i lekarz mówi, że nie powinnaś.

Jolka pomyslała, że nigdy w życiu nie znała żadnej pani, kóra nazywała się Kwieta i załatwiała bimber, ale to może było dawno, jak jeszcze była dzieckiem. Nie zapytała, to nie było ważne.

Jolka bała się zostać bez pieniędzy i to wydawało się teraz najważniejsze. Jej „narzeczony”, jak czasem mówiła mama, albo po prostu pan Romuald, umiał się zachować. Zawsze, kiedy odwiedzał Jolkę, gdy mieszkała razem z mamą, i potem też, kiedy już miała własne niespłacone mieszkanie, wyrażał zrozumienie dla ciężkiej sytuacji finansowej i zostawiał na stole kilka banknotów. Przy każdej jego wizycie obie rzucały spojrzenia niecierpliwe na ten róg stołu, gdzie, wiedziały, pojawią się pieniądze.

***

Skok spadochronowy z samolotu, tandem z obcym instruktorem

Jakub zostawił ją na lotnisku i pojechał do pracy. Trzeba dbać o

kontrakty zagraniczne i te inne też, wiadomo, jeśli człowiek jest odpowiedzialny i rzetelnie wypełnia swoje obowiązki zawodowe.

Skok w tandemie. Jolka czekała na swoją kolej. Pomimo napięcia, które gdzieś tam w środku ją roznosiło, z jakiegoś niewiadomego powodu polubiła tę atmosferę na strefie, ludzie byli sympatyczni, wyluzowani – z wyjątkiem tych, co czekali na tandem..

– Po co mi ten tandem? A co jak spadochron się nie otworzy, co jak samolot się rozbije po starcie? Może będzie wiało i odwołają skoki?

Takie myśli chodziły jej po głowie.

Usłyszała jak ktoś wykrzykuje jej imię. To był jej instruktor. Podeszła bliżej, przyjrzała mu się dokładnie. – Więc to z nim przyjdzie mi umrzeć? Jak mam zginąć to przynajmniej w towarzystwie przystojniaka. Co ja wygaduję, nikt nie umrze, skup się, słuchaj co on mówi!

Instrukcje, co robić w czasie lotu w tandemie były klarowne. Miała szczęście, jej instruktor miał poczucie humoru, to odgoniło jej negatywne myśli.

– Widzisz tę uprząż? Jest lepsza o tych, co niektórzy mają w sypialni. Mrugnął okiem. Natychmiast wyobraziła siebie i Jakuba,

w duchu się uśmiechnęła.

Bała się, że w czasie lotu będzie czuła, że żołądek podchodzi do gardła, że spada…

– Będziesz się czuła, jakbyś leżała na miękkim materacu z powietrza – ktoś powiedział.

Samolot wznosił się w powietrze, odliczała minuty, miała wrażenie, że trwa to wieku.

– Wcale mi się nie śpieszy, tak sobie tu posiedzę, popatrzę przez okno…

Kamerzysta ustawiał kamerę. Pomyślała:

– Jak będzie wyglądał wymuszony uśmiech na przerażonej twarzy?

Nagle dźwięk silników, huk powietrza przerwał zadumę, ktoś otworzył drzwi od samolotu. Zobaczyła samodzielnych skoczków, jak z radością opuszczają samolot, niektórzy robili salta.

– To wygląda jak świetna zabawa!

Instruktor po raz kolejny sprawdził uprząż, naciągnął paski,

klamry. Przesuwali się w kierunku wyjścia.

Kamerzysta czekał na zewnątrznym stopniu samolotu, gotowy do skoku. Stanęli w drzwiach.

Spojrzała w dół. Nie czuła lęku wysokości, ziemia wyglądała jak na pocztówce. Serce biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej.

– Więc to jest moje być albo nie być. Taka będzie moja śmierć. Nie, właśnie że nie umrę!

Instruktor coś do niej mówił, ale niewiele do niej docierało.

Czy chcę fikołka na wyjściu? Nie zdążyła pomyśleć, a jej ciało było w powietrzu i robiło obrót.

Najpierw był „free fall” – lecieli bez otwartego spadochronu. Minęło kilka dobrych sekund zanim ‘odzyskała’ władzę nad swoim ciałem. Zaczęła sobie przypominać instruktaż:

– Kolana zgięte, ciało wygięte w łuk, tak, chyba tak to miało być.

Przed nimi był spadochroniarz z kamerą. Był bardzo blisko, wyciągnął do niej rękę, robił śmieszne miny. Zaczęła się śmiać, znaczy próbowała, pęd powietrza jej tego nie ułatwiał.

Jej istruktor też miał kamerę przyczepioną do nadgarstka.

Instruktor otworzył duży kolorowy spadochron. Pozwolił jej sterować, to znaczy pozwolił, żeby zrobiła samodzielnie powoli i ostrożnie dwa małe zakręty. Wylądowali miękko na trawie. Wiatr zaczął szarpać tkaninę i szybko podbiegli jacyś spadochroniarze, żeby pomóc.

Przepełniona radością, szczęśliwa, że żyje, bezwiednie uściskała instruktora. Czuła się jak bohater o super odwadze. Zadanie zaliczone, to tyle. Nigdy więcej.

Potem kupiła dla wszystkich skrzynkę piwa i czekała, aż przygotują wideo z jej lotu. Przysiadło się do niej dwóch spadochroniarzy z Hawajów. Próbowali ją postraszyć.

– Nie zawsze skok w tandemie jest bezpieczny.

Opowiedzieli o instruktorze hawajskim, który dostał zawału w czasie lotu. Był silny wiatr i zniósł tandem na morze. Jego pasażerka utonęła. Najczęściej tandemy są bezpieczne, bardzo rzadko zdarza się coś takiego. Ktoś jeszcze opowiedział o dziewczynie, która wysunęła się z uprzęży i zginęła twardo uderzając ziemię. Zaraz potem jakaś odważna kobieta kupiła skok w tandemie na swoje osiemdziesiąte urodziny i też wysunęła się z uprzęży w podobny sposób, ale instruktor

zorientował się i w ostatniej chwili złapał ją za nogę. Jolka już by się nie wysunęła, bo po tych wypadkach nakazano wszyć do uprzęży grubą taśmę w poprzek tej dziury, przez którą obie panie się wysunęły.

Wideo z jej skoku było gotowe. Oglądali wszyscy i czuła się cudownie.

Jakub dołączył do nich zaraz na początku filmu.

Były też piękne zdjęcia z jej skoku, oglądali wspólnie, a potem poprosili, żeby ktoś zrobił ich zdjęcie: Jolka i Jakub pod palmami. Pierwsze wspólne zdjęcie na Fejsbook. Co powiedzą ludzie, że oni są razem, przeleciało jej przez głowę, ale tyle się działo, że opinia ludzka mało się teraz liczyła. Na wszelki wypadek, zanim zdjęcia zostały zrobione, pobiegła z torebką do łazienki. Szybkim sprawnym ruchem wymodelowała włosy. Przeciągnęła usta pomadką.

Cycki, muszę poprawić cycki, one też muszą dobrze wyglądać! Ułożyła piersi w staniku, naciągnęła dekolt i wyszła.

***



Fot. krzysztofniewolny z Pixabay

Na złe dni, na świt, który trudno rozwiązać… Może kurs paralotniowy? Startuje się pod wiatr.

Ojciec Titki, jak tylko wyjęły bagaże z samochodu, włączył silnik, mocno dodał gazu i odjechał. Był spóźniony.

Instruktor Hubert stał przy swoim samochodzie zirytowany tym, że przyjechali tak późno.

– Pośpieszcie się dziewczyny, bo zaraz zrobi się ciemno – mruknął.

Titka wzruszyła ramionami i pobiegła gdzieś z telefonem.

Instruktor Hubert przypiął Jolce paralotnię. Rutyna, nerwowe, szybkie ruchy. Uniósł lekko skrzydło, ustawił do wiatru. W ostatniej chwili zapięła kask. To było za prędko. Nawet nie zdążyła zmienić butów. Miała na sobie eleganckie pantofle, które ślizgały się po śniegu. Ale to był dobry start. Pod wiatr, jak trzeba.

Poleciała wysoko. Skrzydło drżało, łapało turbulencje. Myślała, żeby dodać sobie odwagi, że to przecież szkolna paralotnia, taka do uczenia początkujących i że nic jej się nie stanie. Ręce w górze i nie bać się, przypominała sobie słowa Jakuba. Myślała o nim. Wcale się nie pogniewał. Chorował. Tak jak ona. Góry były piękne, ostre szczyty w oddali i zalesione zbocza tu blisko.

Spojrzała w dół. Jacyś ludzie podchodzili pod górę i patrzyli na nią. Chciała im pomachać, ale była tak wysoko, że nie mogliby tego zobaczyć.

Potem poczuła spokój i pomyślała, że niebo jest zawsze jakieś święte i błogosławione, niezależnie od religii, jaką się wyznaje.

Świerki były teraz ciemnozielone. Utraciły czapy śniegu. Była w niebie.

Przeleciała wysoko ponad polaną, na której planowała wylądować. Dopiero teraz zbliżała się do ziemi. Dalej był las. Przypomniała jej się ta część szkolenia, która mówiła o lądowaniu awaryjnym na drzewie.

Zobaczyła potok z piaszczystym brzegiem, pełnym małych kamyczków, z których woda spłukała śnieg. Ostrożnie wykonywała manewry.

I kiedy już stała na ziemi, chciała śpiewać ze szczęścia.

Pantofle nie ślizgały się, gdy lądowała na piasku, ale po śniegu trudno było iść. Pamiętała kierunek – do góry i potem koniecznie w lewo.

Odpięła paralotnię i zarzuciła na jedno z niższych drzew. Jeśli będą jej szukać, prędzej wypatrzą kolorową paralotnię, niż ją gdzieś tam w lesie. Pod kolorową tkaniną tańczyły linki, jakby tysiąc pająków wyginało długie ramiona.

Słońce zbliżało się ku zachodowi i zaczynało robić się zimno. Wiedziała, że musi iść. Nie wolno usiąść ani na chwilę, żeby nie zamarznąć.

Zdawało jej się, że widziała wilka skradającego się za drzewem. – Sen mara, Bóg wiara, powiedziała do siebie.

Pomoc nadeszła w postaci małego śmigłowca, który wylądował w tym samym strumieniu. Widocznie to było najlepsze miejsce do lądowania w tej okolicy. Wiatr, który zrobiło śmigło, uniósł paralotnię zawieszoną na drzewie. Dobry pilot, pomyślała. Nie wplątał się w linki, bo wtedy oboje potrzebowaliby pomocy.

Ze śmigłowca wyskoczył mężczyzna. To był Jakub. Co on tutaj robi?

Wilk wyszedł zza krzaka i zbliżał się w ich stronę.

– Tu są wilki. Uważaj.

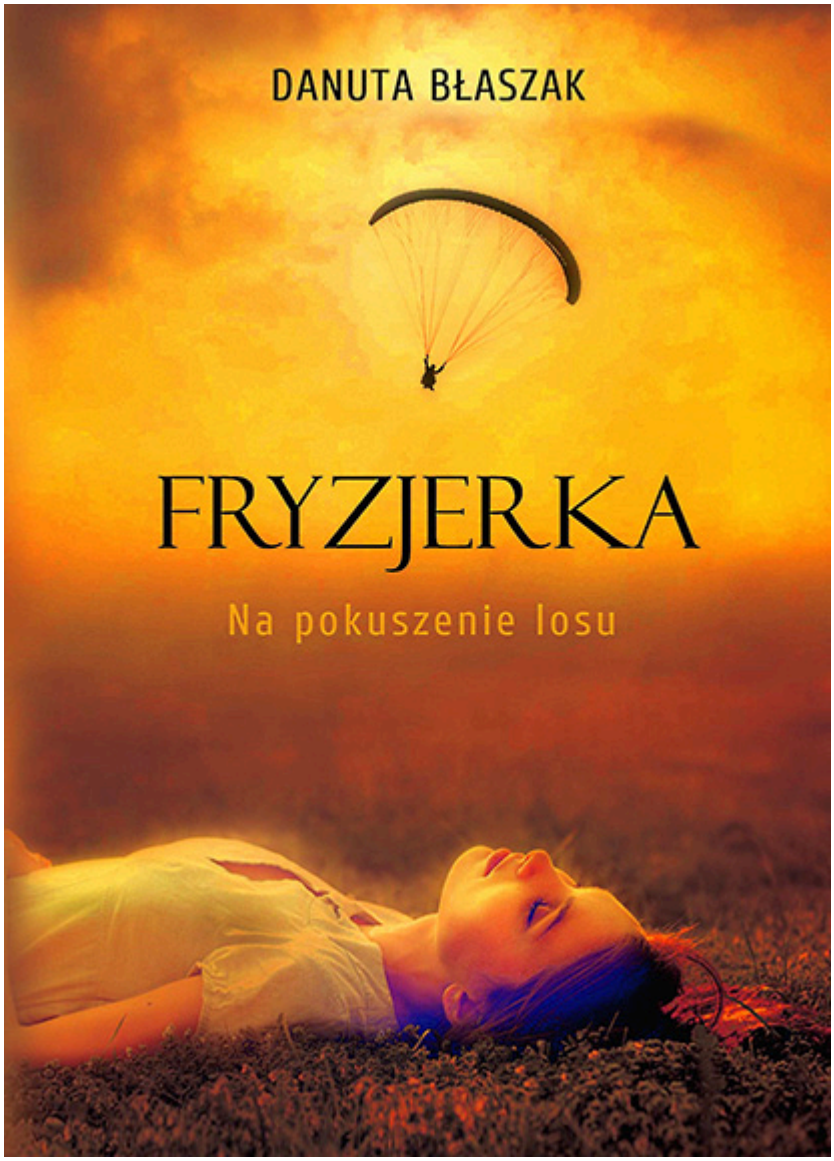
– Nie bój się – powiedział Jakub. – To nie wilk. To pies mojej siostry.

Pogłaskał psa. Pomyślała, że ją też mógłby pogłaskać, albo coś bardziej po ludzku.

– Jesteś sama? – zapytał. – Na pewno zerwałaś z tym idiotą?

– Czy zawsze zaczynasz akcję ratunkową od takich pytań?

Danuta Błaszak, Fryzjerka. Na pokuszenie losu, wyd. Norbertinum 2021 r.



http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyfYLUxx_OMAs

Recenzja:

„Fryzjerka” Danuty Błaszak

Chopin zdobywa Atlantę

Rozmowa z Dorotą Lato – założycielką i prezesem Chopin Society of Atlanta



Dorota Lato (w środku) razem ze studentami wydziałów muzycznych uczelni Atlanty, stypendystów Fundacji Elżbiety i Krzysztofa Krawczyńskich przy CSA, na corocznej Gali Chopin Society Atlanta w 2018 r., fot. Agnieszka Sulewska

Bożena U. Zaremba:

Minęło 20 lat od założenia przez Ciebie i Twojego męża, Piotra Folkerta, który jest koncertującym pianistą, Towarzystwa Chopinowskiego w Atlancie. Masz prawo być

dumną z osiągnięć organizacji…

Dorota Lato:

Jestem niezmiernie dumna. Przede wszystkim z tego, że organizacja w dalszym ciągu się rozwija i zwiększa się liczba przedstawianych przez nas koncertów, na które przychodzi coraz więcej publiczności. Rozszerzamy wachlarz wydarzeń muzycznych. Zachęciliśmy również dużą rzeszę sponsorów, którzy aktywnie uczestniczą w rozwoju organizacji i dzięki temu możemy skupić się na realizacji nowych przedsięwzięć, szczególnie przeznaczonych dla studentów muzyki z Atlanty, którzy widzą swoją przyszłość w świecie pianistyki. Od pięciu lat, dzięki Fundacji Elżbiety i Krzysztofa Krawczyńskich przy CSA, sponsorujemy studentom uczelni Atlanty studia letnie w Paryżu i Valdemossie. Do tej pory przyznaliśmy stypendia około dwudziestu uczestnikom. Ten program międzynarodowych kursów chcemy rozszerzyć również na Polskę. Są nimi zainteresowani i studenci, i bywalcy naszych koncertów, bo przy tej okazji chcieliby odwiedzić kraj, w którym Chopin się wychował oraz zwiedzić najważniejsze ośrodki z nim związane.

Dlaczego Chopin? Dlaczego nie np. Paderewski, którego związki z Ameryką są dość silne?

Odpowiedź jest dość prosta. Założenie naszej organizacji było rezultatem iskry, która narodziła się po koncercie mojego męża

w Atlancie w 1999 r., kiedy cały świat obchodził 150-lecie śmierci Fryderyka Chopina. Ten przepiękny koncert w całości poświęcony utworom Chopina był bardzo ciepło, wręcz entuzjastycznie przyjęty. Tego samego wieczoru, po koncercie, kiedy delektowaliśmy się sukcesem, postanowiliśmy regularnie organizować tego typu koncerty i stworzyć organizację, która promowałaby muzykę polskiego kompozytora. Oczywiście Paderewski jest bardzo cenionym przez nas artystą, jego twórczość także promujemy, a wielu pianistów, których gościliśmy, wykonywało jego utwory, ale spuścizny obu kompozytorów w żadnym razie nie da się porównać.

Czy Atlanta jest dobrym miejscem na promowanie kultury i sztuki?

Tak, chociaż każde miejsce ma oczywiście swoją specyfikę, swój charakter i jest inaczej przygotowane. Mieszkając w Atlancie od długiego czasu, doskonale poznałam ten rynek i wiem, czego ludzie oczekują i jak ich zainteresować, zaintrygować. Jest to miasto kosmopolityczne i jego mieszkańcy są otwarci na kulturę odmienną od własnej. Muzyka Chopina jest szalenie uniwersalna, znajduje więc oddźwięk wśród ludzi o tak różnorodnym pochodzeniu etnicznym, religijnym i kulturowym. Atlanta jest przy tym młodym, rozwijającym się miastem, a przez ostatnie lata stała się silnym ośrodkiem uniwersyteckim. Młodzi są bardzo ambitni, otwarci i chętnie uczestniczą w naszych

prezentacjach, nie tylko koncertowych. Do nich przede wszystkim adresujemy wykłady muzykologów i kursy edukacyjne, które są entuzjastycznie przyjmowane.

Dlaczego tak wielką wagę Wasza organizacja przykłada do edukacji młodzieży?

Bo to przecież dzisiejsza młodzież będzie kiedyś wypełniać sale koncertowe. Jeżeli chcemy kultywować rozwój muzyki, musimy zadbać o to, żeby młodzież aktywnie uczestniczyła w muzycznych przedsięwzięciach, żeby chodziła na koncerty. Także, żeby uczestniczyła w konkursach, które organizujemy dla młodzieży szkolnej. Mam na myśli konkurs na esej przedstawiający wrażenia po koncercie i konkurs rysunkowy. Poprzez inne medium dzieci muszą się ustosunkować do muzyki Chopina i przedstawić swoje wizje. Dla mnie jest to ważne, bo pozwalamy odkrywać muzykę Chopina tym, którzy nie grają na fortepianie albo innym instrumencie, albo niekoniecznie interesują się muzyką poważną. Taki konkurs powoduje, że sięgną do nagrania czy też książki i zapoznają się z jego twórczością.

Co najbardziej uderza Ciebie w pracach, które dzieci przysyłają na te konkursy?

Świeżość. Te prace pokazują, że rozumienie muzyki przez dzieci jest bardzo piękne i wzruszające. Dzieci są uderzająco otwarte i

reagują na świat w czysty, nienaruszony sposób. Eseje to są takie mini-recenzje – niezwykle piękne i trafne. Zwłaszcza uderzają porównania, które są ogromnie interesujące i intrygujące.

Czy możesz przytoczyć jakiś tekst?

Było ich wiele, ale jeden esej szczególnie silnie utkwił mi w pamięci. Napisany był przez wtedy niespełna dziesięcioletnią Sitary Shirol, która porównała „Poloneza As-dur" w wykonaniu Kevina Kennera do tańca przepięknego pawia. Ten taniec jest „elegancki, pełen gracji, symbolizujący szczęście, piękno i szczerość". Prace rysunkowe są też fantastyczne. Można je zobaczyć na naszym portalu. Najciekawsze z nich wykorzystujemy do oprawy graficznej naszych materiałów reklamowych, zdobią nasze kartki świąteczne, które wysyłamy do sponsorów, a jedna z prac została wykorzystana na okładce corocznego magazynu Międzynarodowej Federacji Towarzystw Chopinowskich.

Czy skupienie się na młodym odbiorcy jest trudniejsze?

Nie wiem, czy trudniejsze, ale na pewno trzeba do nich dotrzeć w inny sposób. Nasza działalność jest jakby dwupokoleniowa, bo staramy się nią zainteresować zarówno dorosłych, jak i młodzież. Bardzo często rodzice przychodzą na koncerty, bo dzieci są zainteresowane i to dzieci przyprowadzają rodziców [*śmiech*].

Sprawia nam to dużo satysfakcji, bo widzimy rezultaty naszej działalności.



Recital Rafała Blechacza w Atlanta Symphony Hall, który odbył się 15 kwietnia 2018 r. Od lewej: Anna Paré, założycielka Fundacji Elżbiety i Krzysztofa Krawczyńskich przy CSA i członek zarządu CSA, Rafał Blechacz i Dorota Lato, fot. Anton Shteyn

Z czasem wypracowałaś sobie system funkcjonowania Towarzystwa, ale początki chyba nie były łatwe?

Organizacja koncertów to olbrzymi wysiłek organizacyjny, ale poprzez lata działalności udało się nam nawiązać współpracę z najlepszymi salami w Atlancie, łącznie z *Atlanta Symphony Hall*,

gdzie zaprezentowaliśmy koncert Rafała Blechacza. To był ogromny sukces. Także zainteresowaliśmy lokalne radio i prasę. Każdy nasz koncert jest olbrzymim wydarzeniem, a bilety są wyprzedane. Ludzie są pod wrażeniem, że taki szeroki wachlarz wiekowy i kulturowy jest reprezentowany wśród naszej publiczności. Z tego niesłychanie się cieszę, bo to pokazuje, że trafiliśmy do wielu grup społecznym i potrafiliśmy ich zainteresować muzyką Chopina.

Masz nie tylko wykształcenie muzyczne, ale świetne wyczucie co do tego, czy dany artysta jest dobrym i charyzmatycznym pianistą. W jaki sposób to rozpoznajesz?

Dla kogoś, kto się wychował w Polsce i uczył się muzyki od 6 roku życia, to jest wyczucie intuicyjne. Jak słucham jakiegoś pianisty to właściwe po pierwszych taktach wiem, czy pianista potrafi mnie przekonać do swojej sztuki. I zachwycić. To trudno opisać, ale nawiązuje się jakaś niewidzialna, ale odczuwalna nić porozumienia pomiędzy słuchaczem a pianistą.

Starasz się też sprowadzać wybitnych interpretatorów muzyki Chopina.

Przede wszystkim chcemy promować interpretacje, które są przekonujące. Prezentowaliśmy bardzo wielu cenionych na świecie interpretatorów muzyki Chopina, w tym laureatów

pierwszych i głównych nagród Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Niech wymienię takich wspaniałych pianistów jak Rafał Blechacz, Marek Drewnowski, Eric Lu, Georgijs Osokins, Yulianna Avdeeva, Kevin Kenner, Ingrid Fliter, Dina Yoffe czy Alexander Kobrin.

W ramach działalności Towarzystwa, byłaś inicjatorką ciekawej serii koncertów połączonych z narracją. Jak powstał ten pomysł?

Zawsze chcemy zaprezentować coś innego, nietuzinkowego. Taki koncert z narracją ma na celu przybliżenie sylwetki kompozytora poprzez udostępnienie informacji, czy to w formie listów samego kompozytora, czy jego bliskich albo po prostu faktów biograficznych. Często publiczność nie zdaje sobie sprawy z tego, że niektóre utwory mają swoją konkretną historię. W muzyce Chopina nie jest to może tak bardzo widoczne czy podkreślane, ale są utwory, którym charakter nadało jakieś wydarzenie. Na przykład słynne preludium „deszczowe", które powstało na Majorce, czy „Etiuda Rewolucyjna" skomponowana po powstaniu listopadowym, w którym Chopin nie mógł uczestniczyć.

Jeden z koncertów tej serii poświęcony był jazzowi. Dla CSA grali też koncerty muzycy jazzowi. Czyli organizacja nie ogranicza się do tradycyjnego wykonawstwa.

Absolutnie nie. Zacznę od tego, że gościliśmy np. skrzypka, Mariusza Patyrę, zwycięzcę Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. N. Paganiniego w Genui, który w bardzo wzruszający sposób zagrał transkrypcje utworów Chopina na skrzypce. Prezentowaliśmy też utwory Chopina w interpretacji muzyków jazzowych, zarówno pianistów i wokalistów. Grażyna Auguścik na przykład była u nas dwa razy i zawsze była bardzo gorąco przyjmowana. Zaprezentowaliśmy też szalenie ciekawy koncert, na którym najpierw utwory Chopina zaprezentował w oryginalnej wersji mój mąż, a potem te same utwory usłyszeliśmy w wersji jazzowej, w wykonaniu Adama Makowicza. To spotkało się z olbrzymim entuzjazmem. Podobnym konceptem był koncert „3xChopin" z udziałem Ewy Pobłockiej, Leszka Możdżera i Trio Andrzeja Jagodzińskiego. Takie koncerty łączące tradycyjne wykonanie z jazzowym są bardzo ciekawe. Wersje jazzowe utworów Chopina pozwalają miłośnikom jego muzyki głębiej odkryć harmonię tych kompozycji lub odsłonić inny koloryt. Ale na te koncerty przychodzą także wielbiciele jazzu. Połączenie tych dwóch różnych światów zdecydowanie poszerza muzyczne horyzonty.

W ciągu tych 20 lat udało Ci się przyciągnąć do organizacji koncertów dużą liczbę ludzi, w większości wolontariuszy. Co nimi kieruje?

Nas wszystkich przyciąga pasja i miłość do muzyki Fryderyka

Chopina. Wielu z nas pochodzi z Polski i my, Polacy, chociaż może tego nie artykułujemy, czujemy się moralnie zobligowani do promowania polskiej kultury. Ale są wśród nas także osoby innego pochodzenia. To muzyka nas wszystkich łączy. Ludzie, którzy słuchają muzyki poważnej, są otwarci na drugiego człowieka i w dzisiejszych czasach jest to niesłychanie ważne, żeby się zrozumieć. Także wśród publiczności widzimy na naszych koncertach przedstawicieli wielu grup emigracyjnych z różnych stron świata, z krajów azjatyckich, Indii, Rosji, Ameryki Południowej. Dzieci, które uczestniczą w naszych konkursach, też pochodzą ze wszystkich zakątków świata.



Koncert „3xChopin” zorganizowany przez Chopin Society of Atlanta 21 marca 2010 r. Od lewej: Adam Cegielski, Leszek Możdżer, Ewa Pobłocka, Andrzej Jagodziński i Czesław Bartkowski, fot. Mim Eisenberg

Pandemia zaburzyła kalendarz Towarzystwa. W jaki sposób organizacja radzi sobie z tym wyzwaniem?

Niestety w Atlancie większość koncertów i przedstawień teatralnych przeszło na system online, galerie i muzea działają w

znacznie ograniczonym zakresie. My postanowiliśmy poświęcić ten rok działalności edukacyjnej i nasze prezentacje w najbliższym sezonie będą się odbywać wirtualnie. W programie znajduje się wykład Wojciecha Bońkowskiego o codziennym życiu Fryderyka Chopina i sesje o historii muzyki dla młodzieży i dorosłych, prowadzone przez znakomitą pianistkę i wykładowcę historii muzyki na Uniwersytecie Columbia, Magdalenę Baczewską. Także spotkanie z dyrekcją chicagowskiego Muzeum Polskiego w Ameryce, powiązane z prezentacją pamiątek po Ignacym Paderewskim, które znajdują się w zbiorach Muzeum oraz spotkania z Profesorem Alanem Walkerem, autorem najnowszej biografii Fryderyka Chopina, wydanej w 2019 r. i z Profesorem Johnem Rinkiem, jurorem Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina, o historii i kulisach Konkursu. W planie jest także pokazanie filmu o Instytucie Chopina w Warszawie i Żelazowej Woli pokazującego miejsca związane z życiem Chopina, który mamy nadzieje zachęci widzów do odwiedzenia ojczystego kraju kompozytora. Często nie mamy czasu na taką ogólną edukację naszych widzów i teraz mamy okazję rozszerzyć repertuar naszych wydarzeń, a przez to pogłębić wiedzę na temat Chopina. Nie zrezygnujemy jednak z prezentacji recitali, ale będą one prezentowane online.

Poza działalnością społeczną prowadzicie z mężem szkołę muzyczną Musik21. Podchodzicie więc do edukacji muzycznej w sposób wielopłaszczyznowy, co w czasach,

kiedy ze szkół publicznych usuwa się naukę muzyki, jest szczególnie istotne. Jak nauka muzyki klasycznej wpływa na ogólne wykształcenie młodzieży?

Wpływ muzyki poważnej na rozwój dziecka był wielokrotnie badany i jest powszechnie wiadome, że odgrywa ogromnie istotną rolę w jego edukacji. Kształtuje wrażliwość, uczy dyscypliny oraz otwartości na świat i na innego człowieka. Dzieci, które uczą się grać na jakimś instrumencie i słuchają muzyki poważnej są też bardziej ciekawe świata. Mamy do czynienia z dziećmi, które reprezentują różne grupy kulturowe i mamy okazję porównać różne percepcje muzyki, style wykonawcze, a także koncepcje edukacji muzycznej, ale wszyscy zdają sobie sprawę z jej niepodważalnej wartości.

Czy repertuar Waszych uczniów obejmuje muzykę Chopina?

Oczywiście! Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Naturalnie nie wszyscy są w stanie grać Chopina dobrze. Nie dlatego, że nie potrafią sprostać trudnościom technicznym, ale dlatego, że emocjonalnie nie potrafią sprostać głębi tej muzyki. To zresztą odnosi się także do profesjonalnych pianistów. Nie wszyscy wybitni pianiści grają muzykę Chopina, bo jest to niezwykle trudne.

Muzyka wypełnia Twoje życie i życie Twojej rodziny. Oprócz męża, który, jak wspominałyśmy wcześniej, jest koncertowym pianistą i pedagogiem, jedna z córek studiuje w szkole muzycznej w klasie fortepianu, druga też gra. Jak rozwijałaś ich wrażliwość muzyczną?

Od pierwszego dnia swojego istnienia wychowywały się w domu, w którym muzyka rozbrzmiewała przez cały czas. Od małego otoczone były muzyką poważną. Razem słuchaliśmy różnorodnych wykonań, rozmawialiśmy, często dzieliliśmy się swoimi opiniami, chodziliśmy na koncerty. Starsza, Eliza, miała zaledwie sześć tygodni, jak poszła pierwszy raz na koncert taty [*śmiech*]. Sztuka w ogóle – malarstwo, teatr, poezja, książka czy film – zawsze była obecna w naszym domu. Podczas naszych podróży, czy po Stanach, czy Europie, zwiedzaliśmy wystawy i muzea. To był taki naturalny proces, który wpłynął na ogromną wrażliwość muzyczną naszych córek. To jest dar, który na zawsze pozostanie istotną częścią ich życia.

Czyli nauka muzyki powinna też obejmować inne dziedziny.

Zdecydowanie tak, bo to jest kwestia kształcenia ogólnej wrażliwości. Pianista, oprócz oczywiście techniki, musi mieć wyczucie i rozumienie bardzo szeroko pojętej sztuki, musi być na nią otwarty. Także na otaczające na wszystkich piękno. Miałam okazję oglądać klasy mistrzowskie prowadzone przez wybitnych

pianistów, którzy swoje uwagi wspierali cytatami z poezji, opisami natury czy odnośnikami do malarstwa. To wszystko szalenie wzbogaca interpretację. W dzisiejszym, skomputeryzowanym świecie jest to istotne, żeby zdać sobie sprawę z głębi wrażliwości artysty i procesu tworzenia. Elon Musk w jednym z wywiadów powiedział, że podczas gdy sztuczna inteligencja niedługo zdominuje większość profesji, zawód muzyka czy artysty w ogóle będzie jednym z nielicznych, które nigdy nie będą mogły być zastąpione przez komputer.



Dorota Lato wręcza nagrody w konkursie rysunkowym podczas corocznej Gali CSA w 2014 r. fot. Paweł Łoj

Wywiad ukazał się w roczniku ,,Polonia Inter Gentes" wydawanym przez Instytut im. Generała Władysława Andersa w Polsce, w lutym 2021 r.

Dorota Lato – założycielka i prezes Chopin Society of Atlanta. Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie studiowała muzykologię i uzyskała tytuł magistra na Wydziale Orientalistycznym. Studiowała także historię sztuki na tureckiej uczelni w Izmirze. Gry na fortepianie uczyła się od dziecka i kontynuowała ją w liceum muzycznym. W latach 1986-1991 prowadziła cykl audycji muzycznych w Polskim Radiu. W 1991 r. wyemigrowała do Nowego Jorku, gdzie aktywnie uczestniczyła w życiu polonijnym, organizując różne wydarzenia kulturalne, na które sprowadzała polskich artystów. Po przeprowadzeniu się do Atlanty kontynuowała działalność społeczną na rzecz Polonii. Zorganizowała między innymi koncert na cześć Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego i Polskiego Komitetu Olimpijskiego w związku z odbywającą się w 1996 r. Olimpiadą. Chopin Society of Atlanta założyła w 2000 r. Jest laureatką Nagrody Obywatelskiej przyznawanej przez Polsko-Amerykańskie Stowarzyszenie Historyczne (Polish American Historical Association) za promocję polskiej kultury (2007). Została także nagrodzona przez Ambasadora Rzeczypospolitej Polski w Stanach Zjednoczonych, Roberta Kupieckiego, za wybitne

osiągnięcia w propagowaniu polskiej kultury w USA (2010). Z okazji 20-lecia Chopin Society of Atlanta otrzymała listy gratulacyjne od Ambasadora RP w Stanach Zjednoczonych, Piotra Wilczka, od Fundacji Kościuszkowskiej oraz Międzynarodowej Federacji Towarzystw Chopinowskich (2020).

Chopin Society of Atlanta (CSA) zostało założone w 2000 r. w celu popularyzacji twórczości i spuścizny kulturowej Fryderyka Chopina poprzez organizowanie koncertów, konkursów muzycznych i wspieranie innych projektów propagujących sztukę i kulturę na terenie metropolii Atlanty w stanie Georgia, w Stanach Zjednoczonych. Jej misją jest trafienie głównie do młodego odbiorcy poprzez fundowanie nagród dla zwycięzców konkursów pianistycznych dla młodych pianistów i zapraszanie młodych artystów do zaprezentowania swoich talentów pianistycznych podczas dorocznej gali. Organizacja dofinansowuje także bilety na swoje koncerty dla uczniów szkół muzycznych i funduje nagrody dla dzieci, które biorą udział w konkursie na esej oraz konkursie plastycznym, których celem jest przedstawianie wrażeń na temat muzyki i postaci Chopina. CSA jest organizacją typu „non-profit”. Od samego początku swojego istnienia CSA propaguje polskich muzyków, zarówno klasycznych, jak i jazzowych, którzy czerpią inspiracje z muzyki Fryderyka Chopina. Wśród gości znaleźli się tacy znakomici polscy pianiści, jak Ewa Pobłocka, Stanisław Drzewiecki, Marek Drewnowski, Adam Makowicz, Piotr Folkert, Andrzej

Jagodziński, Leszek Możdżer czy wokalistka jazzowa Grażyna Auguścik, a także zwycięzcy nagród na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie – Rafał Blechacz, Eric Lu, Georgijs Osokins, Yulianna Avdeeva, Ingrid Fliter, Dina Yoffe, Alexander Kobrin i Kevin Kenner. CSA cieszy się rosnącym uznaniem nie tylko wśród członków Polonii, ale także w szerokim środowisku muzycznym.

Portal organizacji: www.chopinatlanta.org